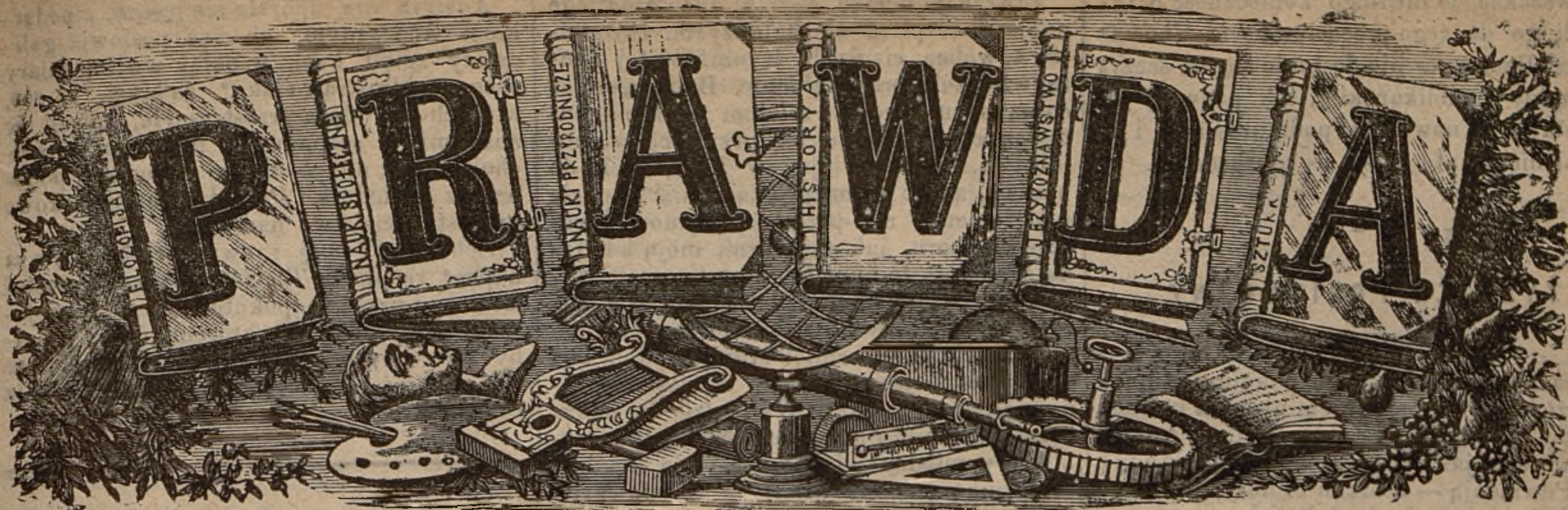
№ 20. Warszawa, dnia 19 (7) Maja 1888 r. Rok VIII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka*: Zagadka uroku.—Tydzień polityczny.—Jurgis Durnialis. (Sielanka) p. Brollsa. — *Sprawy ekonomiczne*: Nędza Galicyi.— Bank włościański.— Towarzystwo Kredytowe Ziemskie. — *Życie społeczne*: Listy krakowskie p. Mora. — *Literatura i sztuka*: Literatura polska: Wincenty Kosiakiewicz: Janek p. Cezarego Jel. — Z Niemiec p. Ladawę.— Teatr. Heca na scenie p. Cez. Jel.—*Poezya*: Wszystko mija... p. Wiktora Gomulickiego.— *Fejleton*: Po świecie VII. p. Egrota. — Liberum veto p. Posła Prawdy. — Na widnokręgu p. Drogomira. — Sprostowanie p. Cezarego Jellentę. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

ZAGADKA UROKU.

Po za litością lub naganą dla zbiegowisk francuskich, okrzykujących bohaterem człowieka, który niczem nie usprawiedliwił tego dlań zapału i nie dał żadnej rękojmi dobrego użycia położonej w nim wiary, uderza nas fakt nadzwyczajnych jego powodzeń i tryumfów, których samą naiwnością i bezmyślnością tłumu wytłomaczyć niepodobna. Boulanger zbyt jest ogołocony z tytułów zasługi, prasa, Izba deputowanych, dostojni i znakomici przewodnicy narodu zbyt energicznie zwalczają zucha i uświadamiają opinii jego nicość, ażeby on mógł utrzymać się na wyżynie bez innej podpory, prócz własnego warcholstwa i lask motłochu. Pamiętajmy, że najpoważniejsze dzienniki piętnują go mianem klamcy i oszusta, że urzędowi i nieurzędowi wodzowie polityczni uderzają na niego całą potęgą swego znaczenia i wpływu, broszury i pisemka ulotne, nieprzebierające w środkach szykany, omazują go błotem, a pomimo tej wyprawy sprzymierzonych żywiołów najrozmaitszej natury i wartości moralnej, on coraz bardziej wysuwa się naprzód i ciągnie za sobą coraz liczniejszą rzeszę. Według ostatnich depesz, zarówno rząd, jak i stronnictwa dotąd wpływowe są poważnie zaniepokojone wybuchami uwielbień dla podróżującego i jednającego sobie zwolenników ex-generała. Co mu pomaga do zwycięztwa? Niepodobna przypuścić, ażeby ono było dziełem tylko jego zuchwalstwa i szarlataneryi, oraz głupoty gromad, które mu ulegają? Nie, w działaniu tego człowieka musi być jakaś siła, jakiś nerw związany z uczuciami i pragnieniami narodu; musiał on na swym sztandarze wypisać jakieś godło, wywołujące oddźwięk w piersiach mas. Przewiawszy jego gadanine z plew, oczyściwszy jego przemowy ustne i pisane ze słów pustych, samochwalczych i kłamliwych, znajdziemy rzeczywiście jedno ziarno zdrowe, płodne w następstwa i zdolne objaśnić urok, jaki piastun i karmiciel tego ziarna wywiera. Mianowicie, Boulanger uderza na Izbę deputowanych, zarzuca jej niemoc, kruszenie się na cząstki stronnicze, handel widokami osobistymi, poświęcanie tym celom interesów ogólnych, wichrzenie kraju walką zajadłą, poniżanie go wobec zagranicy — a to wszystko jest rzetelną prawdą. W ostatnich zwłaszcza latach Izba francuska dawała gorszące widowisko kłótni, burd karczemnych, intrygi, sobkostwa, darcia płaszcza ojczyzny na kawały dla okrycia stronniczych rachub, wyważane przez nią ministerya zmieniały się co parę tygodni lub miesięcy, zginęła zupełnie wszelka ciągłość rządów, wszelka powaga władzy. Kraj na to patrzył cierpliwie, czekał przejścia zawieruchy, spodziewał się ciągle jakiejś zmiany, która utrwali porządek i daremnie wyglądał końca walki już nie garściowych, ale szczyptowych partyj. Ogarnęło go zniechęcenie, zapragnął czegokolwiek, co by położyło tamę potokowi awantur politycznych. Na ten grunt płodny padły hasła Boulangera, wypowiadającego wojnę sprawcom rozkładu i rozprzężenia, egoistycznym a nieudolnym przedstawicielom społeczeństwa. Potrąciwszy tę czułą strunę, wydobył z niej zapał, w którego okrzykach i dymach kadzidłowych odbywa swój pochód zwycięzki po Francyi. Tłumy potrzebują wcielenia widomego każdej idei, potrzebują osoby, więc sławią Boulangera; właściwie jednak nie on jest magnesem, ale sprawa, do której się przyczepił. On może być tysiąc razy przekonanym, że kłamie, wyszydzonym za rozdymanie swej małości, potępionym za warcholstwo—a mimo to będzie się trzymał na powierzchni fal mocą zasady, uznanej za słuszną. Ani ta Izba, ani inna do niej podobna już nie uzyska zaufania narodu, już nie może rządzić Francyą. Jakiś wewnętrzny przewrot jest nieuniknionym — nie dla zadowolenia roszczeń Boulangera, ale dla zadowolenia słusznych pragnień i potrzeb kraju. Kogo i na jaką wyżynę ten przewrot wypchnie — to zależeć będzie od wielu przyczyn, po części od przypadkowego zbiegu okoliczności. Na teraz tyle wydaje się pewnem, że bulanżyzm rozbije ruderę nierządu parlamentarnego i że na gruzach powstanie ład trwały, kierownictwo ciągłe, od kaprysów i intryg Izby niezależne.

W zasadzie, to jest niezależnie od następstw, które mogą być bardzo niepożądane, każdy przyjaciel Francyi musi jej życzyć wyjścia z odmętu i zarazem uznać w osobie Boulangera pewien pierwiastek dodatni. Spełnia on rolę ostrego noża, którego cięcie bolesne, ale pomocne. Zważmy bowiem, że żaden mąż stanu, żaden polityk francuski nie posiadał tej, co on, odwagi, mianowicie odwagi rzucenia rękawicy całej Izbie, tej głównej sprawczyni złego. Wszyscy, waśniąc się z jedną jej częścią, sprzymierzali się z innemi i pokrywali ich błędy. Dopiero Boulanger wypowiedział temu gniazdu szerszeni otwartą wojnę. Nie żąda on przewagi żadnego stronnictwa, ale zgładzenia tego ciała zgniłego. Taki radykalizm bywa okrutnym, bywa niesprawiedliwym, ale także bywa jedynie zbawczym. Jak dla wytępienia zarazków choroby odrapują się z tynku ściany i wyrywają podłogi w salach szpitalnych, takiej gruntownej restauracyi wymaga francuska Izba deputowanych, jeżeli jej miazmaty moralne mają być zniszczone. Tu półśrodki nie pomogą.

Naturalnie dokonanie przeróbki tego rodzaju byłoby możliwem tylko zapomocą zmian w konstytucyi. Rząd obecny, lękając się wtargnięcia monarchistów, odsuwa tę pracę i nie chce jej dziś podjąć. Zdaje

się wszakże, że niedługo konieczność przynagli go do tego przedsięwzięcia. Chociaż nawet Boulanger nie dostanie się na szczyt piramidy republikańskiej, tak podważy jej podstawę, że nowe jej podmurowanie i utrwalenie gruntu okaże się niezbędnem.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Praca około zbrojnego pokoju postąpiła naprzód. Czy to skutkiem uznania potrzeby, czy też skutkiem rady z Berlina, Anglia postanowiła jak żaba podnieść nogę do okucia. Powiadają — a brzmi to dosyć prawdopodobnie — że gdy lord Salisbury uśmiechnął się zalotnie do ks. Bismarka, ten mu szepnął: I owszem, kochany przyjacielu, ale z karabinkiem, z armatką i z pancernikiem; na piękne oczy romansować nie będziemy; przyjmiemy do naszego towarzystwa, ale trzeba się uzbroić.

O ile rybia krew Johna Bulla na to pozwala, wziął się on energicznie do pomnożenia wojska i wzmocnienia floty. Naczelny wódz Anglii, Wolseley, któremu aż przykro i wstyd hetmanić armii niegodnej trzeciorzędnego państewka, rad by ją na lądzie i morzu znacznie powiększyć i z tego powodu wplątał się w starcie z Salisburym. Dwaj jednak lordowie, jako ludzie dobrze wychowani, przeprowadzili z sobą walkę według wszelkich wymagań wzajemnego szacunku. Ostatecznie Anglia się zbroi i zamierza przystąpić do spółki niemiecko-austryacko-włoskiej. Czy już na rachunek korzyści tego przymierza postanowiła ubezpieczyć od północy swoje posiadłości indyjskie i zająć stanowiska strażnicze? Dość, że gazety już zapowiadają ten ruch od południa w Azyi, któremu naturalnie odpowie od północy inny, utrzymujący tam równowagę.

Cesarz Fryderyk kilkakrotnie miał się gorzej i lepiej. W dniu, w którym nasz przegląd piszemy (czwartek), odmiana w zdrowiu cesarza jest lepszą. Wyjeżdżał już a wkrótce ma być przewieziony do Poczdamu. Blizka podróż cesarzowej po okolicach, zalanych powodzią, wskazuje również, że niebezpieczeństwo w stanie chorego znowu odsunęło się nieco ku przyszłości.

Z Francyi ucieka wszelki duch a na jego miejscu rozpiera się bulanżyzm. Stronnictwa wobec ciągłych tryumfów tej chorągwi uczuły przygnębienie. Boulanger zaś coraz mocniej uderza młotem w Izbę deputowanych i rozbija ten przytułek samolubstwa. Przemawiając w Lille, rzekł do biesiadującego z nim zgromadzenia: „Ludzie z parlamentu nie przestają piętnować waszego wyboru, jak piętnowali moją kandydaturę. Jest to bunt Izb przeciw urnie wyborczej! Deputowani trzymają się konwulsyjnie swoich ławek, z których wyrzuci ich głosowanie powszechne! Moją zbrodnią jest chęć skoncentrowania sił, zamiast rozpraszania ich na dalekim Wschodzie dla dobra oszustów, ktorzy nie wahają się nigdy w wyborze pomiędzy własną korzyścią a publiczną ruiną. Autorowie tych zbrodniczych kampanij wmawiają we mnie, jakobym marzył o wojnach lub dyktaturach. Przemawiałem zawsze za godnym nas i zaszczytnym pokojem. Co zaś do dyktatury, to pięciuset królów-próżniaków, zasiadających w Izbie, musi mieć bardzo silne poczucie swej niepopularności, skoro najniewinniejszy krok rozbrojonego żołnierza napawa ich bladą trwogą! W gruncie rzeczy obawiają się oni was, nie mnie. Niebezpieczeństwo, jakie wynaleźli, zamaskować ma to, które z ich łaski zagraża naprawdę krajowi. Zrobili oni sobie poprostu rzemiosło z posłowania do Izby, uśpili Francyę! Wy, moi panowie, ocuciliście ją; hasła: rozwiązanie, rewizya, konstytuanta wywiodły parlament z letargu. Stronnictwa odkryły w sobie wygasłą gorliwość w pracy z chwilą, gdy ujrzały, że ponowny ich wybór zagrożony."

W tych słowach jest połowa samochwalstwa, ale tylko połowa, bo reszta zawiera wyrzuty słuszne.

Półwysep Bałkański nie zaniedbał przypomnieć się Europie swojemi wstrząśnieniami. Kresy państwa tureckiego drżą ruchem niebezpiecznym, Bułgarya tamuje wciskający się do niej napływ gromad powstańczych, Serbia nie wie, pod jakim żaglem jutro jej nawa poplynie. Gazety niemieckie uspakajają świat zapewnieniem, że wkrótce nastąpi rozwiązanie kwestyi wschodniej środkami zbrojnego pokoju. Znamy te przepowiednie i rozwiązania.

Nie brakło w tygodniu ubiegłym i pogłosek wojennych. Rozsiewała je prasa węgierska, ale nie wyrosły bujnie, gdyż miały pochodzić ze śpichlerza giełdy.

Austrya nie uporała się jeszcze z podatkiem wódczanym, chociaż posłowie galicyjscy zgięli karki w pałąk według miary przez „ministra-rodaka" żądanej, ci zaś, których ta ofiara przestraszyła, spisali się znakomicie: szepnąwszy na ucho p. Grocholskiemu: nie pozwalam! — uciekli podobno z Wiednia. Prawdziwie operetkowe przedstawicielstwo narodu!

Schönerer, opój i awanturnik, który za napaść redakcyi *Tagblattu* skazany został na kozę i przed odpokutowaniem kary jeszcze burzy błoto, w którem pływa, mógłby swą odwagą dać przykład deputatom galicyjskim, mającym lepszą sprawę, niż rozbijanie żydów.

SPRAWY EKONOMICZNE.

NĘDZA GALICYI.

Zanim zdążyliśmy zająć się w *Prawdzie* szczegółowym rozbiorem niedawno pod tym tytułem wydrukowanej pracy p. S. Szczepanowskiego, wyszła ona już w drugiem wydaniu. Książka polska, niebędąca ani powieścią, ani pamfletem i w ciągu paru miesięcy mająca dwie edycye, jest czemś niebywałem, zwłaszcza gdy dodamy, że ten „rzadki ptak" naszpikowany materyałem statystycznym. Co to znaczy? Jakaż moc dziwna ów cud sprawiła? Czem autor tak zaklął swe wykazy cyfrowe, że je pochłonięto niby powiastkę lub broszurę upieprzoną? Musimy naprzód poznać jej zawarcie, a wtedy rozwiąże się nam sama ta zagadka.

Galicya należy do najbardziej zaludnionych krajów w Europie, liczy bowiem około 80 mieszkańców na kilometr kw. Oprócz zaś Włoch, Chin i Bengalii nie ma na całej kuli ziemskiej kraju, w którymby każdy kilom. kw. dawał utrzymanie tak licznej ludności rolniczej, jak w Galicyi (60 głów, w Anglii 27, w Król. Pols. 38). Za to pod względem produkcyi zajmuje ona miejsce bardzo pośledniе. Królestwo Polskie z ludnością, równającą się w 1873 r. obecnej ludności galicyjskiej, wytworzyło: 25 milionów centnarów zboża i 37 mil. centn. kartofli, podczas kiedy tam przeciętnie: 16½ m. ctn. zboża i 30 m. ctn. kartofli. W poró-

3)

JURGIS DURNIALIS.

(SIELANKA).

V.

Po śniadaniu Grzegorz wyszedł na spoczynek do bokówki, a Jurgis do komory; Grzegorzowa przylegla na półpiecku, Karusia zaś *przyjęła* ze stołu, wymyła naczynia, ustawiła je na półkach i podrzuciwszy pod głowę kożuch, położyła się na ławie. Chciała usnąć, lecz nie mogła: nie umiała sobie wyobrazić, jak to będzie, gdy Jurgis odda ziemię. Bez ziemi, to już nie gospodarz — gorszy od kątnika, a nawet od parobka: kątnik ma choć mórg ziemi, choć ogród — a Jurgis nic będzie miał nic; parobek bierze 20 rubli i jeśli dobrze — służy, a źle— przyszło Boże Narodzenie, szuka innego miejsca... a jak z nim będzie — nie wiadomo.

Pod wpływem tych zwątpień powstała i poszła do komory. Jurgis leżał na łóżku, lecz nie spał; patrzył w sufit, jak gdyby liczył deski izby. Karusia zbliżyła się i patrząc na piec, z wahaniem rzekła:

— Żebyś nie zgadzał się na ten papier o gruncie!..

— A co?

— Bo będziesz ni gospodarz, ni kątnik; gorzej parobka.

— Będę taki, jak i teraz.

— A skąd weźmiesz grosz na swoje potrzeby?

— Bondę *) posieję — jak i dotąd.

— Nie dadzą ci bondy...

— Nikogo nie będę prosił, sam posieję.

Karusia zamyśliła się; zapewne szukała lepszego argumentu dla przekonania brata, gdyż po chwili rzekła:

— I mnie bratowa będzie poniewierać...

— Nie bój się, powiem pisarzowi, niech pisze tak, żeby tobie krzywdy nie było.

Argument nie zdał się na nic. Karusia westchnęła i poszła ku drzwiom; znowu zatrzymała się i rzekła:

— Rób, jak wiesz, ty rozumniejszy, ale pamiętaj, że nam ciągle będą *przytykać*.

— Nie będą! Bratowa, jak dostanie grunt, uspokoi się — lepiej będzie...

W tej samej chwili, gdy Karusia rozprawiała z Jurgisem, w zarządzie gminy starszyna, siedząc u stołu, bębnił palcami po suknie. Pisarz zamyślony przechadzał się po pokoju.

— Chwała Bogu — ozwał się pierwszy— tymczasem spokojnie; póki co, można i odpocząć.

— Pan starszyna tak myśli, a ja inaczej — rzekł pisarz, posuwając się ku oknu i patrząc w dal, na drogę. U pana — gospodarka, więc zawsze jest zajęcie, u mnie co innego: niema spraw—niema zajęć; tymczasem taką mam dziwną naturę, że ani chwili nie mogę być bez pracy.

— Nie długo będziesz pan biedował. Już to u nas spraw — chwała Bogu!

To mówiąc starszyna powstał i wziął czapkę do ręki.

— Zaczekaj chwilkę panie starszyno — zawołał pisarz; zdaje się, że starosta z Zapanej jedzie; on ma ważny interes.

— A co takiego?

— Zachodził wczoraj z grzegorzem Piktasem. Jakoby brat Piktasa chce zrzec się prawa do gruntu; niby ma zapisać dzieciom Grzegorza.

Starszyna z zaklopotaniem poskrobał się w głowę i rzekł:

— E, to wszystko Grzegorzowa — kuta baba. Jurgis Piktas jakiś durnialis, z nim wszystko można zrobić, ale to nie po bożemu.

— Co to do nas należy. Oni nam nie bracia; jeżeli jeden zgadza się, a drugi poprosi pięknie...

Tu pisarz zrobił wykrętas.

*) Część posiewu na wyłączny użytek kogoś z rodziny.

wnaniu z innymi krajami stosunek ten przedstawia się jeszcze gorzej. Każdy rolnik w Anglii produkuje co najmniej *sześć* razy tyle mleka i mięsa, co w Galicyi, a ze wszystkich zestawień wypada, że jej praca rolnicza wydajnością swą stoi na najniższym szczeblu śród wszystkich krajów świata. Nie lepszą jest inna. Przedsiębiorca Brassey zauważył przy budowie kolei Lwowsko-Czerniowieckiej, że chociaż robotnik galicyjski nie dostawał piątej części płacy angielskiego tej samej kategoryi, roboty ziemne, obliczone na metr sześcienny, kosztowały tyleż w Galicyi, co w Anglii.

Wartość produkcyi krajowej daje na głowę w Galicyi 53 złr., podczas kiedy w Królestwie 91 złr. (blizko 2 razy więcej), a w Anglii 450 złr. (czyli 9 razy więcej). Niższość ta nie jest wynikiem upośledzeń wrodzonych, gdyż w wielu miejscach Europy i Ameryki robotnik polski nietylko utrzymuje się w walce o byt z innymi, ale ich wypiera. „W naszych rękach jest on do niczego. Nie umiemy czy nie chcemy korzystać ze skarbów pracy wytrwałej, do której lud nasz wszędzie po za własnym krajem tak wybitną okazuje zdolność.“ Odpowiednio temu zmarnowaniu pracy przedstawiają się zasoby finansowe (w bankach i kasach) Galicyi, gdzie na głowę przypada 13 złr., podczas gdy w Węgrzech 34, Włoszech 57, Irlandyi 115, Anglii 200.

Pracownicza zdolność człowieka zależy od jego pożywienia. Otóż statystyka przekonywa, że galicyanin przeciętny zużywa rocznie 114 kilogr. zboża, 310 kartofli i 10 mięsa (podczas gdy np. anglik — 217 k. zboża, 160 kartofli i 50 mięsa). Z wyjątkiem kartofli, których Galicya zjada najwięcej, jej konsumcya zboża i mięsa nie dochodzi połowy konsumcyi innych krajów. *Gdyby nawet nic nie wywoziła* za granicę, miałaby na głowę nie więcej, niż 144 kilog. zboża i 34 k. mięsa, czyli *połowę* tego, co spożywają francuzi. Gdyby więc galicyanie chcieli naśladować tych ostatnich, musieliby drugie tyle jeszcze przywozić, co posiadają. Porównanie z innymi narodami wykazuje, że każdy galicyanin pracuje za ćwierć, a je za pół człowieka. Tkwi on w błędnem kole: mało pracuje, bo mało je, nędznie się żywi, bo za mało pracuje. Nędzarze angielscy w przytułkach są (według obliczeń statystycznych) lepiej karmieni, niż ludność Galicyi, która też wykazuje straszną śmiertelność. Tak np. w Anglii średni wiek mężczyzny 40 lat, kobiety 42, w Galicyi zaś 27 lat dla mężczyzny i 28½ dla kobiety. Ilość bowiem pokarmu nietylko nie wystarcza na wytworzenie siły roboczej, ale nawet na utrzymanie zdrowia i życia.

Kraj tak niedostatecznie zaopatrzony w żywność jeszcze pewną jej część wywozi — czemu? Potrzebuje pokryć ciężary obowiązkowe, a nie posiada innych na to środków. Jeżeli obliczymy i rozłożymy na głowy sumę podatków bezwzględnie, to otrzymamy obraz zadziwiający, mianowicie, że Galicya płaci ich najmniej (francuz 48 złr. na osobę, anglik 46 itd., galicyanin 9). Ale jeżeli odniesiemy opodatkowanie do produkcyi, stosunek całkiem się zmieni i zobaczymy, że każdy prusak oddaje $^1/_{20}$ część swego dochodu, anglik $^1/_{10}$, francuz $^1/_8$, galicyanin $^1/_5$. Galicya jest tedy krajem najbardziej opodatkowanym ze względu na swą nędzę materyalną.

Podobny wypadek przedstawia się nam co do ciężarów hypotecznych i długów. W Galicyi wynoszą one 300 milionów — cyfra bardzo mała w porównaniu z obciążeniem nieruchomości innych krajów. Ale odrazu nabierze ona innej wagi, jeśli ją odniesiemy de wartości majątkowej kraju, która na głowę daje 327 złr., podczas gdy w Anglii 2,030.

Narysowawszy cyframi obraz nędzy galicyjskiej, pod niejednym względem niemającej podobieństwa z żadnym krajem w Europie, Ameryce północnej i Azyi poludniowej, obraz, wobec którego rajem jest los żebraków angielskich i mieszkańców Indyj wschodnich, autor powiada: „Przyswoiliśmy sobie potrzeby i pozory cywilizacyi, ale jeszcze nie jej potęgę i twórczość. Pracujemy z nieudolnością barbarzyńców, a mamy gusty i potrzeby europejskie. Czujemy potrzebę administracyi europejskiej, a zbywa nam na środkach, ażeby tyle łożyć na cele oświaty i robót publicznych, ile taka administracya wymaga. Czujemy potrzebę i fabrykatów i wykwintności europejskiej, ale nie umiemy sami ani się wyrobić w kraju, ani też rozwinąć naszego wywozu w wystarczającej mierze do ich sprowadzania bez uszczerbku dla konsumcyi krajowej. To też mając podatki najlżejsze w Europie, nie mamy ich z czego płacić; mając coraz większe potrzeby fabrykatów i wyrobów europejskich, nie mamy ich za co sprowadzać.“ Ten brak stosunku między wymaganiami a siłą wytwórczą jest przyczyną trzech groźnych objawów wzrastającej anemii ekonomicznej, które autor rozbiera pod tytułami: niedoboru finansowego, życiowego i społecznego.

Co do pierwszego, zestawiając wszystkie ciężary finansowe ze środkami do ich pokrycia, p. Szcz. oblicza, że niedobór roczny Galicyi wynosi od 6—11 milionów złr. Następstwem jego jest wydziedziczanie się z ziemi, z lasów, lub przenoszenie w ręce obce symbolów ziemi — listów zastawnych. Wywłaszczanie się to ciągle rośnie.

Niedobór życiowy występuje pod postacią chorób i ciągle zwiększającej się liczby śmiertelności, której niczem innem wytłomaczyć nie można, tylko nędzą ekonomiczną. W ciągu lat 21 (1864—85) narodziny wzrosły o 17%, a zgony o 20%. Królestwo Polskie, posiadające ten sam szczep, organizacyę społeczną, warunki klimatyczne — nie przedstawia nam tego zjawiska. W 1860 r. liczyło ono 4,840,466 ludności, a w 1887 8,000,000; Galicya zaś w 1860 — 4,835,919, a w 1887 — 6,400,000. Skąd wynikła różnica 1,600,000? Niewątpliwie z różnicy pożywienia, wynoszącej na korzyść Królestwa 40%. „Jeżeli więc u nas (w Galicyi) z ludnością tej samej rasy, pierwotnie równie liczną, z tą samą pierwotną cyfrą narodzin w tych 27 latach umarło o 1½ miliona więcej — czyż trzeba szukać wytłomaczenia w epidemiach, a nie w braku odowodnionym pożywienia, w braku zarobku i niesłychanie mało rozwiniętej produkcyi? To są tylko inne słowa na nędzę, na głód, na śmierć głodową. Z nędzy więc zginęło w 27 latach 1,500,000 ludności“ — *czyni to rocznie 55,000.*

Niedobór trzeci wynika już z dwu poprzednich. Siła społeczna kraju spoczywa w zastępie wykształconych i niezależnych obywateli. Następstwem przyjęcia skali europejskiej potrzeb jest tu niesłychane ograniczenie liczby ludzi majątkowo niezależnych, czyli mających większe przychody niż wydatki. To też odwrotnie do stanu społeczeństw zdrowych przewaga materyalna i umysłowa przechodzi w Galicyi coraz bardziej do klas nieprodukcyjnych. Nie posiada ona bowiem ani zamożnych i wykształconych chłopów — jak Węgry i Czechy, ani zamożnych dzierżawców — jak Anglia. Nawet „szlachty“ swojskiej liczyć można około 1,550 — na 6 milionów ludności! Jest to zaś głównie szlachta przedpotopowa, która ginie i ginąć musi, jak mamuty i mestodonty. Cały jej dochód roczny wynosi około 5 mil. złr. — co wyrównywa

---

Starszyna poprawił medal i rzekł:

— Tak, to tak, ale pół włóki gruntu, to nie byle co — szmat obszaru.

Pisarz odwrócił się do okna.

— Ja myślę, póki po *ćwiartce* nie dadzą, nie warto i gadać.

Starszyna rzekł z zakłopotaniem:

— Niechby dali po parę czerwonych papierków...

— Starosta też nie darmo jeździ.

— Starosta z ich strony, a my ze swojej; na wszystkich możnaby i o *Kati* (storublówka) pomyśleć.

Tu pisarz odwrócił się od okna, klepnął starszynę po ramieniu i rzekł:

— Polskie przysłowie mówi: kuj żelazo, póki gorące, a ruskie ostrzega: sucha łyżka gębę drze; bez smarowidła nie można—kto smaruje, ten jedzie.

Podskoczył, palnął holubca i dorzucił:

— Siadaj panie starszyno; Wargialis już przyjechał i zaszedł do stróża, pewno pośle do karczmy po produkty. Pamiętaj, trzymaj się ostro.

Starszyna kiwnął głową i z tajemniczą miną spiskowca usiadł na krześle. Po chwili ukazał się starosta.

— Dzień dobry, panie starszyno!

— Dzień dobry; a z czem to waćpan do nas?

— Względem Piktasów; ale co tu gadać! Zaraz Onufry przyniesie trunku, łatwiej gawęda pójdzie; tylko ksiądz na sucho spowiada.

Pisarz zaśmiał się i rzekł:

— Przysłowie mówi: kruk krukowi oka nie wykole, to znaczy: starszyna ze starostą i bez trunku mogą dojść do ładu.

Wargialis przybierając żartobliwie—obrażoną minę, zawołał:

— Co to nam pan wymyśla od kruków! Jak ci krucy wygrzebią szmatki, to i gawron będzie dziobał.

— I rozumnie zrobi — odparł pisarz — trzebaż i jemu żyć na świecie.

— Ot, nie dziwaczcie, a gadajcie jak jest — przerwał starszyna.

Wszyscy trzej usiedli. Gdy starosta wyłożył całą sprawę, gdy zrozumiano, że Jurgis-Durnialis gra biernie oporną rolę i bez wdania się władz sprawa nie dojdzie do skutku, lica biesiadników rozweseliły się. Pisarz zakończył:

— Secinkę trzeba wziąć.

— Nie dadzą — zauważył starosta.

— E, to i za wiele — wtrącił starszyna.

— A waćpan nie psuj interesu — zawołał pisarz; nie dadzą *Kati* — i ziemi, nie będą mieli; a podług mnie, jak wrócisz panie Wargialis do domu, zajdź do Piktasowej i oświadcz, że to sprawa niełatwa... A jeżeli będzie napierała się, wprost powiedz, że oprócz poczęstunku — secinką pachnie...

Pisarz zamilkł, bo w tej chwili stróż wniósł butelki.

VI.

W sobotę rano, na jednym wózku Jurgis ze starostą, na drugim Grzegorz z żoną zajechali przed ganek zarządu gminy. Zaproszeni na świadków sąsiedzi już stali na dziedzińcu. Po chwili pisarz zasiadł do sporządzenia aktu. Sąsiedzi półgłosem rozprawiali o *losach* — kto pójdzie, kto zostanie w tym roku. Jurgis stał u pieca i milczał, jak zwykle.

Pisarz położył pióro i rzekł:

— *Czernowaja* gotowa, słuchajcie!

Wszyscy zbliżyli się: pisarz czytał dobitnie, powoli; Grzegorz słuchał, opuściwszy głowę, wstyd mu było patrzyć na ludzi. Świadkowie czuli jakiś ciężar na sercu. Starszyna stojąc u okna aż splunął; przyształ mu na myśl testament, który przeszłej zimy pisano u Baudisa; tylko inaczej się zaczynał, a potem zupełnie tak samo. I w tej chwili umierający starzec stanął przed jego wyobraźnią: blady, ze zgasłemi oczami, przerywanym, głuchym głosem napominał dzieci, żeby były poczciwemi, żeby żyły zgodnie i nie krzywdziły siebie wzajem; a jeżeli ktoś stanie się jastrzębiem we własnem gołębiem gnieździe, niech zginie marnie on i ci, co mu pomagać będą. Starszyna drgnął. Chcąc natrętną myśl odpę-

dochodowi niejednego magnata angielskiego. Odtrącając zaś kilka fortun magnackich, przeciętny obywatel galicyjski ma — 3—4,000 zlr. rocznie. To nie przedstawia dostateczniej niezależności majątkowej dla należytego spełnienia obowiązków służby publicznej. Wprawdzie „czoło narodu" otrzymało znaczny zasiłek pod postacią zwiększonej ceny ziemi, ale i to źródło już wyczerpane, a bynajmniej nie na cele produkcyjne.

Jeżeli tak smutnie wygląda klasa rolnicza, stanowiąca 80% ludności, czegóż można oczekiwać od innych — od rękodzieł, przemysłu i handlu! Przemysł wielki jest zaledwie w kolebce, jego nieliczni przedstawiciele nie wywierają wpływu na opinię publiczną. Natomiast istnieje w Galicyi warstwa, która ciągle rozwija się, potężnieje i odciska na społeczeństwie swe piętno — mianowicie biurokracya, licząca 43,000 osób, które pobierają przeszło 24 miliony zlr. płacy rocznej. Dołączywszy do tego wojsko, otrzymamy 35,000 ludzi i 34 mil. zlr. Inteligencya niezależna (adwokaci, lekarze itd.) liczą około 5,000 osób, właściciele tabularnych jest około 2,000, zarówno więc cyfrą, jak dochodem inteligencya zależna, czyli biurokracya, przewyższa niezależną. Tu mamy wytłomaczenie niemocy politycznej. „Jedyne warstwy, przejęte naszemi tradycyami historycznemi i politycznemi, jako tako uobywatelnione, tj. właściciele więksi i inteligencya niezależna, razem liczą zaledwie 7,000 rodzin i zbiorowo rozporządzają zaledwie $^1/_2$, częścią dochodów krajowych... Dlatego też przewaga tonu biurokratycznego w naszej opinii publicznej jest jedną z głównych przyczyn tego fundamentalnego zapoznania rozmiarów i doniosłości kwestyi ekonomicznej i tego braku poczucia jedynej drogi, na której ratunek możliwy. Jakimże sposobem warstwa, której pozycya ekonomiczna zależy od cudzej łaski, może się przejąć koniecznością osobistych i zbiorowych ofiar i wiarą w niechybny skutek takiego myślenia? Ciasna i biedna karyera urzędnika austryackiego, karyera, która nie dopuszcza inicyatywy prywatnej, nie daje niezależności, nie zapewnia nawet dochodu, wystarczającego na życie wykształcone, stała się szczytem ambicyi całej młodej generacyi.

W całej służbie państwowej jest zaledwie 600 miejsc z pensyą przenoszącą 2,000 zlr., a zaledwie 20 z pensyą nad 4,000 zlr. Siła polityczna całego kraju wyczerpuje się na uzyskanie drobnych faworów i koncesyjek, niewartych tego zachodu i prawie niewpływających w niczem na kwestyę najważniejszą, tj. podniesienie dobrobytu krajowego. Wszystko karleje i maleje do miary dyspute o kilka pensyj urzędniczych lub krajcarowych ulg podatkowych. A tymczasem ogólne zwątpienie, apatya i martwota ogarnia cały kraj, zatraca się wiara w skuteczność życia publicznego. Z odzwyczajeniem się od zbiorowych wysileń ginie poczucie łączności, kraj rozpada się na kasty i stany, stan na jednostki. Z upadkiem sprawy publicznej następuje równy upadek poziomu charakteru. Im większe niebezpieczeństwo zagraża, tem mniej stajemy się zdolnymi do własnego ratunku."

(D. n.)

BANK WŁOŚCIAŃSKI.

Pisma tutejsze za *Krajem* petersburskim podają treść świeżo zatwierdzonej ustawy Banku włościańskiego w Królestwie Polskiem. Dla naszych czytelników jest to rzecz nienowa. Na podstawie projektu, który mieliśmy sposobność poznać, a który bardzo małym uległ zmianom, przedstawiliśmy w n-rze 40 *Prawdy* z roku zeszłego główne zasady tego statutu. Zanim on więc będzie ogłoszony w formie urzędowej, powtarzamy dla nieposiadających ostatniego rocznika *Prawdy* podawane obecnie w pismach doniesienie:

Pożyczki mogą być przyznawane osobom pochodzenia ruskiego, polskiego i litewskiego, mającym prawo nabywać grunty, podpadające pod ukaz z d. 19-go lutego r. 1864, jeżeli nadto komisarz włościański poświadczy, że do udzielenia im pożyczki żadne nie zachodzą przeszkody. Szacowanie gruntów należeć będzie do oddziałów Banku państwa i ich filij. Pożyczki wydawane będą w stosunku 90% szacunku (nie 100%, jak projektowano, i nie 75%, jak w Cesarstwie). Z tego 75% wypłacane będą z funduszów bankowych, 15% zaś z „funduszu użyteczności publicznej," wreszcie 10% z własnego kapitału nabywcy. Z „funduszu użyteczności publicznej" do rozporządzenia Banku włościańskiego przelano 2 miliony. Pożyczki mogą być udzielane na hypotekę takich gruntów, które: a) nie podpadają pod ukaz z d. 19 lutego r. 1864; b) nie są obciążone służebnościami, chyba że nabywcami są ci, którzy korzystają z serwitutu, lub jeżeli on jest mało ważny; c) mają założoną osobną księgę hipoteczną. Długi, obciążające hipotekę, nie przeszkadzają w nabywaniu gruntów, byleby nie przenosiły przyznanej pożyczki. Po nabyciu wszystkie długi ulegają spłacie, a pożyczka zostaje umieszczona na pierwszym numerze. Grunta, kupione przy pomocy pożyczki bankowej, nie mogą być odstępowane do czasu spłacenia pożyczki; nie mogą być również dzielone na części mniejsze od 6 mórg miary nowopolskiej. Zarząd oddziałów Banku włościańskiego w Królestwie Polskiem składać się będzie z prezesa z pensyą 2,500 rs., z dwóch członków, mianowanych przez ministra finansów, stałego członka komisyi włościańskiej, oraz z członków, zapraszanych przez miejscowego gubernatora.

TOWARZYSTWO KREDYTOWE ZIEMSKIE.

Gazeta warszawska otrzymała z Petersburga telegram o zatwierdzeniu nowo ułożonych „ustaw Towarzystwa Kredytowego Ziems." Pierwsze prawo zasadnicze tej instytucyi, wydane w r. 1825, uzupełniane było wielokrotnie. W r. 1869 polecono jej zjednoczyć rozmaite przepisy w całość i przedstawić Komitetowi urządzającemu. Zatwierdzenie wszakże tego statutu uległo zwłoce bądź skutkiem wprowadzania reformy sądowej, bądź skutkiem powodów finansowych. Nareszcie r. 1885 władze Towarzystwa wypracowały i wysłały swe „Ustawy," które 10 maja r. b. uzyskały zgodę Rady państwa. Nowy statut dokonał kilku zmian, które *Gazeta warszawska* tak określa:

Naprzód wprowadzono przepis o ogólnem zebraniu władz Towarzystwa, składającem się z członków Komitetu, Dyrekcyi głównej, oraz prezesów Dyrekcyj szczegółowych. Zebrania takie, jakkolwiek i dotychczas w celu układania projektów były zwoływane, miały przedtem tylko charakter doradczy. Obecnie zaś w ustawie mają wyraźnie atrybucye swe wskazane.

W zebraniach wyborczych brać będą udział tylko ci stowarzyszeni, których dobra obciążone są pożyczką Towarzystwa w ilości najmniej 3,000 rs. Wybranym zaś na urząd Towarzystwa może być stowarzyszony wtedy, jeżeli długi hipoteczne na jego dobrach nie przenoszą $^3/_4$ ich wartości. Zebrania stowarzyszonych wybierać będą nietylko radców do wszystkich władz To-

---

dzić, wyjrzał za okno. Na kościelnej wieżyczce zajęczał dzwonek — skierował on wzrok w tę stronę i widzi: na cmentarz wiozą białą, sosnową trumnę, za nią wlecze się gromadka sąsiadów i żałośnie zawodzi:

„Trąba głosu ogromnego,
Zbudzi z umarłych każdego,
By wstał na sąd Pana swego."

Starszyna przeżegnał się i pomyślał: wszyscy tam będziemy.

W tej chwili pisarz skończył czytać i zapytał:

— Czy dobrze?

— I jak dobrze! — zawołała Grzegorzowa.

Lecz ten wrócił się do Jurgisa i powtórzył pytanie — tak, dla formy, bo wiedział, że odpowie: at!..

Stało się trochę inaczej. Jurgis zbliżył się do stołu, oparł się, aż deski zatrzeszczały i patrząc pisarzowi w oczy jakimś uporczywym, świdrującym wzrokiem — aż się ten wstecz cofnął — rzekł:

— Pisz pan o Karusi: Gdy pójdzie za mąż: krowę, dwie owieczki — młodą i starą, źrebaka i jarzmo wołów; przyodziewek i reszta jak u innych dobrych gospodarzów. Nim pójdzie za mąż, żeby nie było przytykania, ani krzywdy, a jeżeli będzie—grunt odbiorę.

Świadkowie zdumieli się i wytrzeszczyli oczy: w tych słowach, wypowiedzianych głucho, równo, jak gdyby ktoś obuchem po suchym uderzał drewnie, było coś takiego, przeciw czemu nikt by odezwać się nie śmiał.

Tymczasem Jurgis odszedł od stołu i stanął znowu u pieca. Pisarz w niepewności wziął pióro do ręki, spojrzał na niego i zadziwił się: szeroka, koścista twarz znowu była ponura, szare, mgliste oczy znowu patrzyły w sufit... Więc mu się tylko przywidziało!.. licho wie czego zląkł się wzroku jakiegoś durnia... Obrócił się do Grzegorzowej i zapytał:

— Więc cóż, można pisać?

Grzegorzowa cienkim głosem zaśpiewała:

— Już to Jurgis któż wie co gada! Przed całą parafią nas wstydzi. Czy to Karusia dla nas cudza, żebyśmy ją krzywdzili? Damy, jak wszyscy gospodarze. A teraz o wołach: pan starszyna, gospodarz może pierwszy w całej gminie, a w przeszłym roku wydając córkę, co dał? Krowę, źrebaka i rocznego byczka. Łatwo powiedzieć — jarzmo wołów! Komuż to wystarczy na takie zbytki...

Dowodzenia Piktasowej były bardzo słuszne: w całej gminie było nie więcej, niż dwóch, trzech włościan, coby mogli, nie naruszając gospodarki, tak wyposażyć córkę. Dla Karusi, jako sieroty, trudno wymagać takich rzeczy. To też i świadkowie zawahali się i spojrzeli na Jurgisa. Starosta pierwszy zagadał:

— Jakże myślisz Jurgis? Możeby o wołach i nie pisać — może cielaka, czy co?

— At!— mruknął Jurgis niechętnie i odwrócił głowę.

Pisarz patrzył do koła, jakby pytając wzrokiem, co ma robić. W tej krytycznej chwili starszyna zbliżył się do stołu i rzekł:

— Póki nie ma zgody, nie można pisać.

Jurgis jak gdyby tylko tego oczekiwał.

— Bywajcie zdrowi! — rzekł i ruszył ku drzwiom.

Grzegorzowa przelękła się.

— Zaczekaj Jurgis — zawołała — jeżeli już nie mamy wiary u ciebie, niech będzie po twojemu.

Jurgis zatrzymał się. Pisarz sunął piórem po papierze. Gdy skończył i przepisał na czysto, przystąpiono do podpisów. Jurgisa zastąpił krawiec Stelmacki, Grzegorza—organista, świadków — krewny Piktasowej, Łamowszczak. Starosta przyłożył pieczęć, starszyna swoją, pisarz gminną z orłem i wszystko było skończone.

Nim stróż postawił w pokoju pisarza poczęstunek, nim władza i sąsiedzi przystąpili do uczty, Jurgis już wahał się na drodze wiodącej do Zaspanej.

* *

Stary Wilejko był to człowiek sprawiedliwy i bogobojny, lecz uparty i narowisty.

warzystwa, jak dotąd, lecz nadto i ich zastępców.

Ważne są bardzo przepisy o zabezpieczeniu właścicieli Listów zastawnych od wypadkowej ich utraty, albowiem właścicielowi Listu zastawnego na okaziciela, w myśl nowego określenia, służy prawo żądania przemiany Listu na imienny. W razie zniszczenia lub utracenia Listu imiennego, Towarzystwo wydaje odbitkę drugą.

Ulgi dla stowarzyszonych z powodu klęsk są znacznie szersze i dogodniejsze od dotychczasowych.

Kary od zaległych rat ustanowione są po ½% miesięcznie, licząc część każdego miesiąca za cały miesiąc.

Administracyę zachowawczą, podług dotychczasowych przepisów w niektórych dobrach zaprowadzaną, obecnie zniesiono. Na to miejsce są nowe przepisy o nadzorze nad dobrami.

Władze Towarzystwa obmyśliły wreszcie krótkoterminowe pożyczki dla stowarzyszonych. Przepisy wszakże co do wydawania takich pożyczek powinny być osobno zatwierdzone przez p. ministra skarbu.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY KRAKOWSKIE.

Grudki na trumnę. — Słowa prawdy. — Obrazek galicyjski.— Odzieranie ze skóry jako środek upiększający.— Uleczona kolowacizna. — Jeszcze piękniejszy Kraków. — *Pan Tadeusz* za 10 centów. — Konkurs na wyroby rękodzielnicze.

Nie uspokoił się jeszcze żal, jaki ogarnął nas po śmierci Zygmunta Wróblewskiego; wypadek niespodziany, cierpienia straszne dodały grozy nieszczęściu. Kraj stracił w nim sławnego męża, nauka — jedno z swoich świateł, a wszechnica—najpiękniejszą ozdobę. Mówcy pogrzebowi a przedstawiciele uniwersytetu godzili się na pierwsze i drugie; młodzież, najbardziej może ciosem dotknięta, przemówiła najszczerzej i najśmielej: z naszych łachmanów śmierć wydarła kawał, który był cały i silny, na barkach kazała dźwigać jeszcze biedniejsze strzępy i świecić nędzą, upadkiem. W naszym czasie „gaszenia pożarów," kiełznania każdej myśli wolnej i swobodnej, młodzież ceniła w zmarłym charakter potężny i niezwykły, zdolny do poświęcenia wszystkiego, do zapomnienia o sobie tam, gdzie dobro ogólne ofiar wymagało. Cenila go, bo wolny od pokus karyery, szedł za głosem obowiązku, bo nie oglądając się na cudze łaski i nic płaszcząc się przed nikim, wstępnym bojem zdobył uznanie świata.

Dostrzeżono ten ogień młodzieńczy w strażnicy i *Czas* zagasił go swą sikawką czem prędzej. Lało się w ten sposób: w całej tej poważnej uroczystości, jeden był rozdźwięk, mowa studenta J., naszpikowana zużytymi frazesami politycznymi, świadcząca, niestety, o upadku zmysłu nietylko estetycznego, ale, co gorsza — i etycznego, w pewnych głowach i sercach.

Zacni panowie! na nic wasze strzykanie, nadszedł czas wypowiadania słów prawdy, w oczy. Jeżeli ów student był niegrzecznym, to Gregr w austryackiej Izbie poselskiej był chyba nieprzyzwoitym. Śpiewają dziś w Praterze:

Dem Weber und dem Zucker war
Der arme Gautsch nur zugemessen;
Der Gregr hatte aber gar
Das ganze Cabinet gefressen *).

Wogólnej rozprawie budżetowej powiedział, że naród czeski nie ma już zaufania do rządu; że hr. Taaffe nie wstąpił wprawdzie na dawną drogę germanizacyi, ale obrał sposób niebezpieczniejszy, „tajemnego, przewlekłego zatruwania;" że nie ma jednego z praw zasadniczych naszej konstytucyi, któregoby rząd nie obszedł, nie zlekceważył; że prasa zdana jest na dowolność prokuratora i urzędnika policyi. Jeżeli dziennik jaki sądzi, że polityka hr. Taaffe nie jest kwintesencyą wszelkiej mądrości tego rodzaju — ulega konfiskacie; jeżeli dziennik powątpiewa o genialności ministra oświaty — ulega konfiskacie. Każdy urzędnik policyjny, każdy urzędnik gminny ma być dla prasy jakiemś *noli me tangere*, ale najbardziej oburza konfiskata za podanie wiadomości, której prawdziwość jest niewątpliwą.

Panowie z *Czasu* strzykajcie!

Niestety, pali się dalej: Austrya nie jest ani wolnem, ani absolutnem państwem, ona jest czemś znacznie gorszem, państwem ministeryalnej, biurokratycznej samowoli pod pokrywką konstytucyonalizmu. Świetny obraz skarbu państwa, przez ministra rozwinięty, jest ułudą, za którą kryje się nędza ludności. Czesi dążą do tego, aby skłonić rząd do wykonania własnego programu, do dotrzymania uroczyście danych przyrzeczeń; że zaś jest zwyczajem parlamentarnym, iż przyzwolenie budżetu uważanem jest jako objaw zaufania dla rządu, przeto głosować będą... przeciw budżetowi.

Fe, pan Gregr jest człowiekiem ordynarnym a czesi bez wychowania; galicyanie stanowczo są dystyngowani, między nimi taki się nie znajdzie.

Przepraszam, ale znalazł się. W tej samej Izbie zabrał głos poseł hr. Hompesch w sprawie pamiętnej ustawy drogowej. Nie przemawiał w imieniu „Koła," bo nie pozwoliło, więc przemawiał w imieniu pokrzywdzonych. W obwodzie, z którego został wybranym, ustawa nie natrafiła na opór ludności; lojalny wieśniak płacił albo odrabiał bez szemrania. Mimo to zarządzono egzekucyę wojskową, z powodu, że członkowie rady odmówili pieczęci i podpisu na wykazach, do czego nawet ustawa nie zobowiązywała. Żądanie bezprawne pobudziło włościan do podejrzeń; akt położenia podpisu albo znaku krzyża jest dla naszego wieśniaka chwilą tak ważną, że nierychło zdobędzie się on na odwagę; gdy wreszcie rozszerzono pogłoskę, że podpisy owe posłużą do zaprowadzenia pańszczyzny, przerażenie opanowało umysły.

Na wiadomość, że nadchodzi egzekucya wojskowa, wywędrowała cała wieś, chowając się w lasach. Komisya polityczna wysłała żołnierzy i żandarmów, którzy urządzili obławę na chłopów. Chwytano ich i sprowadzano pojedynczo i przedstawiano komisarzowi, który ich zapytywał, czy zgadzają się z nowelą drogową?!..

Chłop odmówił wszelkiej odpowiedzi, dopóki mu komisarz nie rozwiązał języka uderzeniem w twarz. Bydło i suknie, zajęte dla pokrycia kosztów egzekucyi, sprzedano w sąsiednim miasteczku za bezcen. Buntowników odstawiono do sądu, gdzie długie tygodnie podczas robót polnych siedzieli w areszcie śledczym, aż wreszcie doczekali się wyroku — uniewinniającego!

Wieśniak galicyjski zniesie i najsurowsze postępowanie, ale sprawiedliwe; zniesie i niesprawiedliwe, ale wtedy poczucie krzywdy pozostaje w jego duszy całe lat dzie-

*) Weberowi i Zuckrowi oddano biednego Gautscha, ale Gregr pożarł cały gabinet.

Jak byk, gdy go w czasie upału bąk utnie, pędzi na oślep z zadartym ogonem, nie słuchając głosu pastuchów — tak i Wilejko, jeśli w czemś się zaweźmie, nikt go nie przekona; idzie na przebój i choćby cała wieś powstała przeciw niemu — twierdzi swoje.

Ot i teraz, gdy sąsiadów proszono na świadków w sprawie Piktasów, Wilejko nie pojechał — jakaś mucha go ukąsiła, uparł się i ani weź.

Wieczorem wszyscy wiedzieli, jak się sprawa skończyła; mówiono tak i owak: jedni znajdywali, że Jurgis bardzo dobrze zrobił, inni, że za wiele wymógł dla Karusi.

Wilejko układając się do snu, rzekł do swej baby:

— Nie taki to Jurgis durnialis, jak myślałem; przeciw Karusi zawsze grzech było coś mówić. Ot, żeby nie ta Grzegorzowa, co swoją chciwością cały dom plami, możebym posłał Ignaluka i do nich w swaty.

— Co tam Grzegorzowa! Ona Łamowszczanka, a nie Piktasówna; Karusi matka z bardzo dobrego domu— Baudisówna; czyż nie wiadomo, jakie to gniazdo. Tylko podług mnie, Ignaluk nie zechce Karusi.

— Jak każę, to i zechce.

— Nie warto! Jeszcze ludzie pomyślą, że dla jej posagu...

— Co mnie ludzie! Ja sam wiem, jak jest. Na tem skończyła się rozmowa.

Nazajutrz zrana, gdy stary wyszedł do wioski, Wilejkowa szepnęła do syna:

— Ot widzisz, mówiłam, nie gadaj nic, zwlekaj, może pan Bóg da ojcu opamiętanie.

— A co? — zawołał chłopak zrywając się.

— Ojciec zawsze bywało gadał: szkoda tej dziewczyny; jeden brat — baba, drugi— durń, a bratowa łakoma; nikt i w swaty nie pojedzie, bo komuż przyjemnie mieć takich krewnych; a wczora jak Jurgis postawił na swojem, ojcu tak to przypadło do serca, że miarkuje ciebie posłać do Piktasów w swaty.

— Oj, czy tylko?! — wykrzyknął chłopiec i chwycił matkę za szyję.

Ignaluk był tak podobny do Karusi, jak ogień do wody: wiecznie ruchliwy, śmiejący się, nigdy nie usiedział na miejscu; na wieczorynkach zjawiał się pierwszy, wychodził ostatni— bez niego nie wiadomo, coby i robić... Dziewczęta spoglądały nań, jak kotki na sadło, lecz pusty chłopak żadnej nie oddawał pierwszeństwa; przesuwał się ze swym zadartym noskiem od jednej do drugiej — aż musiano się zgodzić, że jeszcze za młody na poważniejsze chętki. Tymczasem Karusia coś wiedziała, lecz za zbawienie duszy nie wyznałaby nikomu, a nawet lękała się o tem myśleć. Wiedziała też i matka Ignaluka, więc skierowała całą usilność, żeby starego na tę myśl naprowadzić; wprost powiedzieć nie można, bo jak się zauporzy, zechce zrobić po swojemu. Wczora pierwszy raz stary sam o tem napomknął, to też matka z synem tak się ucieszyli, że przegwarzyli cały ranek, poczem staruszka zaczęła szeptać koronkę do świętej Rodzicielki, a syn wyskoczywszy na podwórze, przesadził piętnaście płotów i przewrócił dziewczętom idącym z wodą dwadzieścia wiader — łajały go, lecz były zadowolone.

Karusia nie wiedziała o niczem. Przy każdem skrzypnięciu drzwi drżała; a nuż wejdzie jakiś sąsiad i powie: „Ignaluk pojechał do Mierkulasa w swaty." Lecz jakoś to zacichło. Czy ojciec uznał, że chłopak jeszcze za młody; czy namyślał się nad czemś, dość, że minął adwent, minął mięsopust, a o tem i gawędy nie było. Jakiś ptaszek szepnął coś i Karusi, bo żywiej krząta się po izbie, skrzypnięć drzwi nie lęka się i nawet — o dziwo! jej włosy ułożyły się jakoś gładko, gładko...

(D. n.)

Brolis.

siątki, przechodzi z ojca na syna, podsyca niedowierzanie i czyni go przystępnym dla wszelkich wpływów, szkodliwych dla państwa.

Nie domyślamy się, dlaczego piętrzono trudności, przez które nie mógłby dostać się głos przestrogi, żądający sprawiedliwości; dlaczego chciano zatrzymać obrazek wyłącznie w muzeum galicyjskiem, dlaczego... Dosyć tych pytań, zostaną one, jak wiele innych, bez odpowiedzi; może i lepiej, bo dostalibyśmy ją tak wsteczną a niespodziewaną, że z funduszu Mickiewiczowskiego urządzonoby zakład „dla oniemiałych z podziwu.“

Kiedy po smutnem zwycięztwie, jakie pp. Dunajewski i Grocholski odnieśli nad krajem, ozwały się głosy niezadowolenia a nawet obojętni przepowiadać zaczęli rychlejsze zubożenie Galicyi, *Czas* wpadł w zachwyt nad odwrotem Koła, nad pochyleniem karku przed ministrem skarbu. Oto serenada, która wyleciała z chrapliwych puzonów: „owa kapitulacya— to ofiara nieunikniona dla kraju na rzecz własnej jego przyszłości, bezpieczeństwa i najwyższych interesów narodowych, religijnych oraz cywilizacyjnych.“

Propinatorowie! Nie zapomnijcie tych słów, one należą do historyi!

Ogłaszając nagrodę za rozwiązanie tej łamigłówki, trafilibyśmy na niedowierzanie zwłaszcza u pielgrzymów do Watykanu. Biedni ludzie; szczególnie żal mi pań z naszej arystokracyi, które pojechały z wezbranem sercem a wróciły z obrzmiałą śledzioną. Zimnica, zimniejsze od niej przyjęcie, wspólne posłuchanie, zakrawające na lekceważenie, zorały alabastrowe czoła i zażółciły brzoskwiniowe policzki. Rozczarowanie w zamian za chorobę morską, pieniądze i ręczne roboty, to nagroda tak niewdzięczna, że lepiej nie rozwiązywać łamigłówek.

Wiośnianem słońcem, opromieniającem ponurość tego listu, niechaj będzie wiadomość o zakładającem się towarzystwie dla upiększenia Krakowa i okolicy. Proszę nie myśleć, że idzie tu o sprowadzenie warszawskiego szyku i udzielanie go w równych częściach uturniurowanym krakowiankom; sprawa pomnika Mickiewicza (przepraszam) równie nie wchodzi w program, o zasiewaniu wytrzebionych lasów ani nie pomyślano, a naszych znakomitych i wielkich uczonych mamy wystarczającą ilość do upiększenia miasta i okolicy.

Towarzystwo chce przyjść w pomoc radzie miasta w drobniejszych upiększaniach, w zakładaniu parków, ogrodów, wodociągów i wodotrysków... Towarzystwo chce założyć nowe muzea, wzbogacać istniejące i... i wznosić posągi mężom zasłużonym dla kraju i miasta. Przyjdzie czas, że ludziom kamień tak obrzydnie, iż nawet na nim rodzić się nie zechcą.

Towarzystwo upiększyło się już przeszło tysiącem guldenów.

Znając swoje, pochwalmy i cudze. Nakładem „Macierzy polskiej“ we Lwowie, wyjdzie wydanie *Pana Tadeusza* za cenę 10 centów, a nietylko nieuszczuplone w treści, ale powiększone objaśnieniami i ozdobione portretem.

Zarząd tamtejszego Muzeum przemysłowego ogłasza konkurs na wyroby rękodzielnicze z drzewa i z metalu. Zaleca się mają nietylko pięknym kształtem i dokładnem wykonaniem, ale równie taniością i praktycznością w zastosowaniu do codziennego użytku. Konkurs ogłasza się tylko dla rękodzielników krajowych, zamieszkałych w Galicyi.

Mor.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Wincenty Kosiakiewicz. *Janek.* Warszawa, 1888.

Wielki urodzaj na powieści trwa jeszcze, mimo że kanikuła za pasem.. Mamy przed sobą cały snop tych, często pustych kłosów. Co prawda, fama stugębna już zdołała cudem jakimś wyłuskać bardzo tłuste ziarno z wszystkich, ale... nie zaszkodzi własnemi oczami przekonać się o ich wartości, oddając pierwszeństwo największemu na wygląd. Takim jest *Janek*, o ile się zdaje, niepoprzedzony w literackim zawodzie autora żadnym znaczniejszym utworem.

Jest to opowiadanie długie, zajmujące dosyć pokaźny tom; ale rozsnuwa ono pomysł bardzo prosty. Poczciwy chłopiec ze sfery drobnomieszczańskiej z chwilą, gdy zdobywa sobie jaki taki kawałek chleba pracą w warsztatach kolejowych, po niezbyt szczęśliwej i za wcześnie ukończonej karyerze szkolnej — zakłada ognisko domowe. Na wspólniczkę ważnego tego przedsięwzięcia wybiera dziewczynę ładną i ponętną, na tym samym szczeblu społecznym wyrosłą. Zakochał się w niej siarczyście podczas spożywania obiadów w domu jej ciotki, przyjmującej młodzież rzemieślniczą na stół. Nie wiele myśląc, stanął na kobiercu ślubnym, pomimo iż przedtem uczynił inny ślub — podźwignięcia z niedoli matki swej i siostry, zubożonych śmiercią męża i ojca. Rozkosznie popłynęły mu miodowe miesiące — właściwie *Sirupmonate* — bo żonka umiała pieszczotami na pieszczoty odpowiadać. Potrafiła ona zresztą coś więcej. Oto kusić słabego swojego pana i karmiciela do rozmaitych zbytków w urządzeniu i trybie życia, bardzo mało licującym z majątkowym ich stanem, tj. skromną pensyjką i samotnym tysiącem rubli, jaki dostał im się w spadku po jakimś krewniaku. Na pasku wodzony a niedowarzony jeszcze filar ustroju rodzinnego sypał nieopatrznie pieniędzmi na stroje, *cabinets particuliers* w dobrych restauracyach, dorożki, a nawet powozy, aż pewnego pięknego poranku znalazł się w posiadaniu drobnej tylko monety, oraz dymisyi, którą zarząd kolei nie omieszkał go uraczyć przy najbliższej sposobności w nagrodę za zaniedbywanie obowiązków i szumne bardzo przejażdżki. Rozbałamuconą małżonkę mało te kłopoty finansowe obchodzą — kaprysom swoim chciała za jakąbądź cenę uczynić zadość — bo była stworzona do zabawy i próżniactwa. Pod naciskiem golizny zobojętniała dla biedaka, raziła go boleśnie chłodem i wyrzutami, dumając jednocześnie nad sposobem wyzwolenia się z tej niewoli. Coraz wyraźniej rysował się w jej główce plan znalezienia jakiegoś zasobniejszego opiekuna. Przy pomocy sąsiadki, panny z magazynu, w tych razach daleko więcej światłej, powiodło się jej to doskonale. Mąż nie przeczuwał tego, rozpaczał, że jego bóstwo gniewnie marszczy czoło, aż także w napadzie szału znalazł sposób wydostania się z nieszczęścia. Oto ukradł przyjacielowi ni mniej ni więcej tylko ośm tysięcy rubli, w jego obecności przyniesionych i wręczył je z tryumfem połowicy swej w chwili właśnie, gdy schodziła do powozu, mającego uwieść ją wraz z bogatym protektorem na dworzec drogi żelaznej. Rzecz prosta, iż tak ładną sumką nie pogardziła i zabrała ją z sobą, a prawy posiadacz wdzięków, łaknących dolikatniejszego, niż rzemieślniczy uścisku — po krótkich dosyć ceregielach powiększył zastęp pensyonarzów w rotach aresztanckich.

Był to dla niego ogień czyścowy, w którym cierpiał srodze, tem sroższ, iż tęsknił miłośnie za żoną, nic nie wiedząc o jej szerokiej naturze, dzięki szlachetnej dyskrecyi swej siostry. Powrócił z więzienia zbolały i złamany świadomością popełnionego występku. Jedyną pociechą była mu myśl o ukochanej. Pobiegł też do niej natychchmiast, pewny, że chora jeszcze, bo chorobą tłomaczono mu dotąd brak bezpośrednich od niej wieści. Zastał zdrową w przepysznym apartamencie damy z wielkiego świata, był to jednak tylko półświatek, albo raczej pomost doń wiodący, stadyum przejściowe, w którem rola t. z. utrzymanki, dobrze płatnej i hulaszczej, nie przeszła jeszcze w rolę mniej płatnej i mniej wymagającej ladacznicy. Odegrała ona pysznie komedyę czułego powitania, a skorzystawszy z chwilowego oddalenia się męża, spakowała lub wyprzedała manatki i zręcznie czmychnęła z Warszawy. Dopiero po paru dniach daremnego oczekiwania i zdumienia dowiedział się o tem i o całej historyi lat trzech. Cios był za silny. Ugodzony znienacka, przypłacił naiwność swą i łatwowierność tyfusem.

Gdy ozdrowiał dzięki troskliwemu doglądowi siostry, którą tak przedtem zaniedbywał, a która teraz już była szczęśliwą po długiej niedoli żoną uczciwego doktora — postanowił wziąć się do pracy, ażeby przywłaszczone sobie pieniądze odrobić i zwrócić.

Z tego niewyraźnego epilogu niepodobna być mądrym, czy autor żartuje, czy też mówi poważnie. Prawdopodobniejsze to drugie, gdyż tyfus ów wygląda w powieści jak przełom, oddzielający dawne życie bohatera od nowego i topiący w niepamięci wszystko, co dotąd zaszło. Daleko właściwsza jednak byłaby tu ironia w myśl zasady, że dobremi chęciami takich jak Janek mocarzów charakteru — wybrukowane jest piekło. Od początku do końca przyrzeka on poprawę, najpierw w naukach i sprawowaniu, potem w gospodarce małżeńskiej, obiecuje wyszukać sobie miejsce, przygarnąć do siebie rodzinę, a zawsze brnie coraz głębiej w nałóg i słabość. Ten brak moralnego hartu autor nawet świadomie i umiejętnie odmalował i podał za przyczynę wszystkich klęsk, co się na głowę Janka posypały. Wolimy więc wierzyć na własne ryzyko, że zakończenie osnowy nie zwiastuje ani odrodzenia istotnego, ani wtóruje sceptycyzmowi czytelnika, tylko zwyczajnie i całkiem przedmiotowo powtarza znane wysiłki niedołęgi.

Wogóle — rzecz nie łatwa — określić, co jest żywiołem przeważającym w utworze p. Kosiakiewicza: czy jakaś myśl przewodnia, zagadnienie moralne lub społeczne, warunkujące zawczasu układ wypadków, czy też zwyczajna obserwacya stosunków pewnej warstwy.

W pierwszym razie, tendencya *Janka* byłaby chyba czysto dydaktyczną, budującą przestrogą dla żółtodziobów i hołyszów, ażeby nie dali porywać się blaskowi pięknych ocząt i z większym rozmysłem dobierali sobie towarzyszki życia. No ale taki morał byłby już zanadto oklepanym i wyszarzanym. Wolę więc nie przypisywać go autorowi, świadomemu chyba tego, że powieść nawet o trzech tysiącach — zamiast trzystu — stronic, żadnego młokosa od bąków nie uchroni.

Zostaje tedy przypuszczenie, że autorowi szło o rysunek pewnej grupy postaci i psychologiczne zbadanie pewnych zjawisk moralnych. Jeżeli tak — to przyznać mu trzeba, iż pokonał trudności dosyć zwycięzko. Geneza występku w kobiecie, z samego wychowania i umizgów, jakiemi ją darzyli niegdyś stołownicy, przeznaczonej na użytek publiczny — wyszła dosyć wypukło. Rozumiemy całkowicie tę naturę, partą wszystkiemi zdarzeniami jej życia do upodlenia, przeciw któremu żadnej tarczy, żadnych zasad nie miała. Pojmujemy tę siłę niebezpieczną, jaka tkwi w poczuciu własnego powabu cielesnego i w przekonaniu, że związek z prostym rzemieślnikiem i ubo-

-gio mieszkańko nie dają urodzie właściwego pola do popisu. Tak samo uwydatnił autor wpływ podobnie skierowanej miłości na człowieka słabego i niewyrobionego życiem. Bez żadnych naciągań i sztuczek kuglarskich zjednywa sobie naszą wiarę, że dramat musiał tym a nie innym popłynąć torem. Jeśli z tego punktu widzenia spojrzeć na *Janka*, słuszność każe zwrócić się do autora i zrobić pełen uznania pokłon i rzec: Panie... itd.

Życzliwa fanfara poszła jednak o wiele dalej. Z hucznych jej oklasków, niepoprzedzonych naturalnie odczytaniem powieści, możnaby wywnioskować, że *Janek* to druga *Pani Bovary*, a p. Kosiakiewicz — drugi Flaubert. Nie przesądzając jutra, gdyż i takie rzeczy są możebne na tym najlepszym ze światów — ośmielę się zrobić tylko maleńkie zapytańko. Czy staczanie się płochej kobiety w kałużę, w której wedle danych statystycznych kąpie się około 10,000 warszawianek — stanowi w literaturze temat nowy, lub chociażby nieograny przez wszystkich kataryniarzy, t. j. hurtownych nowelistów? Wiem, że dla zdrowego realizmu nie ma motywu zbyt błahego, bo im pospolitszy, tem więcej może być typowy, no, ale takich jak Jankowa typów z małemi ledwie odmianami jest w aktach naszej powieści tyle, ile ich jest w aktach „Czarnej księgi“ (inni mają *zielone*, *żółte* dla czegoż my nie mamy mieć *czarnej*) i magazynach mód.

Z tem wszystkiem jednak wątek, tym razem opracowany, przyjemnie uderza tłem świeżem i społecznem, na jakiem został osnuty. Dokoła niedobranej pary obraca się dużo osobistości najnowszego stempla, zwłaszcza ze stanu nie całkiem niższej i nie całkiem średniej inteligencyi. O co autor po drodze zawadza: ludzi, miejsca i instytucye wielkiego miasta kupców, rękodzielników, fircyków, hotele, restauracye, sąd, więzienie, maskaradę itp. — to odtwarza wiernie i zręcznie. Stąd koloryt ogólny świeży i żywotny — i on też stanowi bodaj czy nie najlepszą stronę powieści tak, jak najgorszą jest język, w początkach zwłaszcza bardzo trącący reporterką. Pełno w nim niesmacznych zwrotów i wykrzykników w imieniu autora: „Jasio będzie się uczył!“ „Jasio się nie uczył!“ „Jasio obiecał się uczyć!“ „Do Warszawy! nie zginie tam przecież!“ Z wielu miejsc wyziera skromny bardzo stopień wykształcenia i używanie wyrażeń kiepsko rozumianych i niedowcipna szarża w sylwetkach ujemnych (kuzynek Wacław). Bez trudu też wyłowić by można kilkanaście grubszych błędów stylowych a nawet gramatycznych: „prędko *spostrzegła się w sytuacyi*“ (str. 61). „Jasno *zeznawał*,“ zamiast pojmował (str. 79), „niepodobny do podkochiwającego się *młodzieńca w kuzyneczce*.“ Nielada ciężar musiała dźwigać ta kuzyneczka...

Cezary Jel.

Z NIEMIEC.

W maju.

Z literatury społecznej: nowe prace o kwestyi kobiecej.— Literatura piękna: *Schönheit*, nowela Frenzla; *Elifên*, utwór Ebersa; *Zwei Wiegen*, powieść Jordana; *Ein Weib*, powieść Heiberga; *Noblesse oblige* Spielhagena. — Nowe dramaty Herriga i Lingga.— Stuletnia rocznica urodzin Rückerta. — Dawni a nowi autorowie społeczni. — Najnowsza książka Maksa Nordaua.

W powodzi pism o sprawie kobiecej, którremi Niemcy i Szwajcarya corocznie zalewają okna wystaw księgarskich, zasługuje na uwagę świeża praca Schäppiego *), pouczająca i trzeźwa. Autor w pierwszej części dowodzi argumentami, zaczerpniętymi z historyi i statystyki, że twierdzenie o nieudolności kobiet do pracy fizycznej i umysłowej jest bezpodstawowem. Powołuje się też na najnowsze badania biologiczne, które stosunkową lekkość zwojów szarej substancyi mózgowej u niewiast tłomaczą okolicznością, że ich organów umysłowych w przeszłości nie rozwijano tak starannie, jak u mężczyzn *), a na przyszłość, wobec umysłowego równouprawnienia, każą się spodziewać korzystnej pod tym względem zmiany. W tym wywodzie mało znajdujemy rzeczy nowych. Zajmującemi natomiast są dane o obecnym stanie zawodowej i umysłowej pracy kobiet. W Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej praktykuje obecnie 300 lekarek. Lucy Abbot i Eliza Chapin są kierowniczkami szpitala powszechnego w New-Yorku. Dochody lekarek przewyższają zazwyczaj zarobek ich kolegów męzkich. Dziewczęta, kształcąc się we wspólnych z młodzieńcami zakładach, zdobywają coraz wyższy poziom pracy umysłowej. Miss Baldrin zajmuje katedrę filologii klasycznej w uniwersytecie Kansas; miss Darwin wykłada retorykę i logikę w Jowa; miss Mitchel kieruje obserwatoryum astronomicznem w Poughkeepsie; miss Sailer, wykładająca fizyologię, jest pierwszorzędną powagą w chorobach organów głosowych.

Zurych wydał w ostatnich latach dwanaście lekarek. W Niemczech słyną trzy: dr Adams Walter we Frankfurcie n. M., dr Lehmus i dr Tiburtius w Berlinie.

W Anglii kobiety wielkie położyły zasługi na niwie społecznej. Miss Fry pobudziła do zreformowania stosunków więziennych, miss Nightingale szpitalów angielskich.

Autorowi jednak chodzi nie tylko o działalność umysłową. Postarał się on o dokładny przegląd statystyczny udziału kobiet w pracy ręcznej i wskazuje pola, które winno być uprawiane przez kobiety w przyszłości. Książka Schäppiego ma cel praktyczny: pragnąłby on umożliwić kobietom nieposiadającym majątku zawieranie związków małżeńskich. Liczba małżeństw maleje corocznie; w samych Prusiech żyje obecnie przeszło dwa miliony kobiet w stanie staro-panieńskim, należących głównie do sfer wykształconych a niezamożnych. Praca zawodowa ułatwi jedynym wyjście za mąż, innym da przynajmniej żywot materyalnie wygodniejszy.

Schäppi, który nie domaga się reform gwałtownych i we wszystkiem liczy się ze stosunkami rzeczywistemi, należy do t. zw. umiarkowanych obrońców wolności i pracy kobiet. Bardziej radykalnym a mniej praktycznym jest Eugeniusz Bauval **), który krytykuje obecne zasadnicze pojęcia ustawodawstw o dwojakiem prawie i dwojakim honorze. Widzi on jeden tylko środek do zupełnego wyzwolenia kobiet z pod tradycyjnych uciśnień: środkiem tym jest wolna miłość. Rzuca więc hasło nienowe, a nie uzasadnia dostatecznie praktycznej jego doniosłości.

Obfitszy plon czeka nas na niwie literatury pięknej. Przedewszystkiem powinienem dziś zdać sprawę z niewielkiej mistrzowskiej noweli Karola Frenzla***), która o wiele większe obudziła zajęcie śród publiczności i prasy niemieckiej, aniżeli objętościowe utwory Spielhagena, Jordana i Ebersa, o których wspomnę poniżej. Frenzel, jako autor i krytyk słusznie zaliczany do najwytrawniejszych pisarzy niemieckich, celuje wytwornym smakiem artystycznym. Rzeczy jego okraszone są owym plastycznym wdziękiem, o który po Goethem nie jeden się kusił, ale bodaj czy nie jeden Frenzel z powodzeniem. *Piękność*—to zajmujący epizod z epoki początków Odrodzenia we Włoszech, wyobrażający walkę kierunku średniowieczno-ascetycznego z wskrzeszonym klasycyzmem, żądającym szlachetnego używania. Piękność, to w noweli Frenzla nie tylko ideał helleński, ożywiający humanistów, ale zarazem odwieczny urok wdzięku ludzkiego, który popycha dwoje istot młodych do tragicznego skojarzenia swych losów. Atoli nie we wszystkiem mistrz nowoczesny dorósł do potęgi czasów, które opisuje. Umiał oddać szlachetną piękność Odrodzenia, ale nie zdołał odczuć całej potęgi prądu przeciwnego. Postać proroczego mnicha Savanaroli, który potęgą indywidualności swej dwór Lorenza Wspaniałego umiał nakłonić do pokuty, wypadła w utworze zbyt bladą i bezsilną.

Piękna nowela Frenzla tak daleko odbiega od poziomu przeciętnej produkcyi powieściopisarskiej w Niemczech, że czytając ją, zapominamy prawie o tem, iż można ją poniekąd zaliczyć do kategoryi opowiadań historycznych, uprawianych na podstawie archeologii aż do przesytu przez Ebersa, Hamerlinga, Dahna, Ecksteina. Niewyczerpany Ebers, jak co roku, tak i obecnie nowym utworem pragnie dowieść, że rodzaj ten jeszcze się nie przeżył, że nawet pieśń o starożytnym Egipcie jeszcze nie do ostatniej nuty wyśpiewaną została w Niemczech. *Elifên*, oto tytuł nowego jego utworu (wierszowanego), który przezwał „snem w pustyni.“ Jesteśmy w Egipcie. Młody rzeźbiarz, dla którego zbyt ciasnemi są formy kanonicznej plastyki egipskiej, utworzywszy sobie nowe w sztuce swej ideały, szuka modelu, ucieleśniającego artystyczne jego pomysły. Znajduje go w Elifên, córce Faraona. Szczęśliwe zrządzenie pozwala kochankom przeżyć czas krótki samotnie w swobodnej miłości, a zarazem urzeczywistnić artystyczny ideał młodego rzeźbiarza. Niebawem wroga potęga ludzka każe im opłacić końcem tragicznym krótkie chwile szczęścia, ale nieśmiertelne dzieło, wykonane wówczas, uwiecznia miłość królowej i rzeźbiarza.

Nowszym hasłom literackim hołduje Wilhelm Jordan w najnowszej swej powieści, która szybko kilku doczekała się wydań. Dlaczego? To jedna z tajemnic literackich w Niemczech. Czy idea dziedziczności, zaakcentowana w utworach Zoli i Ibsena, wystarcza już obecnie do zabezpieczenia powieści powodzenia? Jordan opowiada nam losy dwóch rodzin, z których jedna wzięła początek swój w kołysce z drzewa okrętowego: protoplasta drugiej spoczywał w kołysce zbudowanej rzekomo z cedru libańskiego. Autor, celujący wiedzą zwłaszcza filozoficzną, nie przeprowadził założenia swego tak, jakby spodziewać się należało po poczytnym powieściopisarzu. Dowodzenie książki jego jest dziwnem, gdyż w *Dwóch kołyskach* *) znajdziesz akcyi bardzo mało, opisów nie więcej, a głównie nużące wywody o kwestyach społecznych i czysto umysłowych.

Prawideł opowiadania epickiego przestrzega sumiennej Herman Heiberg, jeden z głównych przedstawicieli nowej szkoły literackiej o zabarwieniu naturalistycznem. *Ein Weib* najnowsza jego powieść (Lipsk, u Wilhelma Friedricha) okazuje nam autora tego znowu w sferze Zoli. Heiberg kusił się przez czas pewien o wprowadzenie metody mistrza francuzkiego do salonowej powieści niemieckiej. Obecnie wrócił do atmosfery niezdrowej, w której Zola z upodobaniem się obraca. Z głównych postaci powieści jego, dwie są wprost wstrętne; liczne zaś jaskrawe efekty dowodzą nie mniej, że Heiberg podobnie jak większość naśladowców Zoli w Niemczech, nauczył się

*) *Arbeit, Verdienst, Stellung der unverheirathet bleibenden Frauen*. J. Schäppi. Zürich, Schröter & Meyer.

*) Byłby to argument poważny, gdyby kobiety były tylko córkami matek bez ojców. *Red.*

**) *Sanctionirte Lügen und Widersprüche in den Sittengezetzen*. Zeitgemässe Briefe über das weibliche Geschlecht und seine Zukunft. Lipsk, O. Wigand. 1888.

***) *Schönheit*, Novelle. Berlin, Gebrüder Paetel.

*) *Zwei-Wiegen*. (2 tomy, Berlin, G. Grote).

od niego tylko *comme il se crache et comme il tousse.*

Bądź co bądź jednak, z większem zajęciem czytamy takiego Jordana i Heiberga, którzy chcieliby literaturę na nowe popchnąć tory, aniżeli Spielhagena, głowę katarynkarzów literackich w Niemczech. Dawno już w nieprzejrzanym szeregu tomów wypowiedział on to, co miał do powiedzenia ogółowi. Czuje to sam najlepiej, a pragnie nowej swej trzytomowej powieści *Noblesse oblige* zabezpieczyć poczytność prac dawniejszych, zmuszony jest chwycić się środka, leżącego po za obrębem sztuki. Ogłasza w urzędowym swym organie (*Westermann's illustrirte Monatshefte*), że nowa powieść jego jest czynem literackim o doniosłości politycznej — domyślacie się już, że zajmuje się stosunkami francuzko-niemieckimi. Wątek rozsnuwa się w Hamburgu 1812 r. podczas zajęcia tego miasta i opisuje miłość patryotki niemieckiej z francuzem. Starcie rozwiązuje się tragicznie. Urzędowa notatka w miesięczniku Westermanna zwraca uwagę „auf den prachtvoll durchgeführten Franzosen." Co więc Carrière traktuje z powagą filozofa, tego powieściopisarz używa do odświeżenia zeschłego zdroju swej wyobraźni, zarabiając grube honorarya za bratanie ludów, które filozof głosi jako ewangelię.

Bo wydawać corocznie nowy utwór, powieść lub dramat, tego wymaga przyzwoitość literacka. No, i budżet domowy. Jeżeli są nakładcy, jeżeli jest publiczność, która kupuje wszystko, cokolwiek ogłasza autor sławny, dlaczegożby on miał pisywać tylko co parę lat, pod wpływem muzy, a nie co roku, pod wpływem żony? Ponieważ zaś niemcy i dramaty kupują, więc od czasu do czasu dla odświeżenia nieśmiertelni pisują dramaty, o których nawet przychylna krytyka niemiecka wyraża się zazwyczaj takim mniej więcej zwrotem: „Jeżeli nowy utwór znanego zaszczytnie autora nie okazuje nam zalet życia w pełni, jeżeli brak mu zwłaszcza życia prawdziwie dramatycznego, to jednak..." Stereotypową formułę tę śmiało odnieść możemy do wszystkich prawie utworów dramatycznych, które pojawiają się w Niemczech. Oto znany, wysoko ceniony Hans Herrig, drukuje nowy dramat *Columbus*. Myślałbyś, że przedstawi tragiczny los wielkiego odkrywcy w szeregu walk zewnętrznych i wewnętrznych, że ześrodkuje akcyę jeżeli nie czasowo i miejscowo, to przynajmniej co do motywów głównych? Herrig daje tymczasem rodzaj udramatyzowanej Odysei. Utwór jego, rozwinąwszy szereg luźnych obrazów, kończy się odkryciem Ameryki. Tak pisują dramaty w Niemczech! Równie mało dramatyczności znajdziesz w nowej pracy drugiego „olimpijczyka" współczesnego, Hermana Lingga, *Die Bregenser Klause.* Akcya odgrywa się na tle wojny trzydziestoletniej. Kasztelan von Hofen spotyka się z synem swym, który został pułkownikiem szwedzkim. W poemacie opisowym *Taras Bulba,* osnutym na tle podobnego przedmiotu, więcej jest akcyi prawdziwie dramatycznej, aniżeli w tej robocie dramaturga niemieckiego, przeznaczonej dla sceny.

Imponujący ilościowo szereg współczesnych znakomitości niemieckich nie pochłania uwagi publiczności do tego stopnia, ażeby zaniedbywać miała ulubieńców dawniejszych pokoleń. Rocznicę setną urodzin Rückerta uświetnia prasa, ogłaszając najrozmaitsze artykuły i rozprawy odnoszące się do życia i prac mędrca-poety, który nie uczyniwszy nigdy kroku dla pozyskania rozgłosu chwilowego, z czasem został jednym z najulubieńszych autorów narodu. W małym domku jego w Neusess przemieszkuje jeszcze najmłodsza córka jego Marya. Oll r ymi biust marmurowy, oddający wiernie kościste rysy i charakterystyczne pukle zmarłego poety, spływające niemal na ramiona, 16 maja uwieńczą uroczyście.

Rückert należy jeszcze do owego pokolenia autorów niemieckich, których uroczystej powadze obcem było wszystko, co modne, którzy nawet myśli swe o sprawach współczesnych ubierali w szatę poezyi klasycznej. Jaki odstęp w sposobie przemawiania do ogółu, od cyklu Rückerta „Geharnischte Sonette" do pism modnego reformatora społecznego, Maxa Nordaua! I ten kokietował niegdyś poezyą rymowaną. Pozbył się jednak tej ciężkiej szaty, która jak haft starożytny starannej i długiej wymaga pracy, zabezpieczając trwałą świetność. Pracuje dla chwili, a więc szybko. Fabrykuje raz po raz wrażeniowe książki „o nowożytnym Babelu." Żyjąc od r. 1876 w Paryżu, wydał naprzód „Paris unter der 3. Republik," następnie „Seifenblasen," obecnie ogłasza „Ausgewählte Pariser Briefe" *). W pierwszej części pisze o życiu, w drugiej o książkach paryskich. Opisuje salony, stosunki teatralne, świat muzyczny, życie kawiarniane. Rozdział o kulcie Liszta niezawodnie wiele wywoła wrzawy. Z autorów rozbiera Taine'a, Zolę, Daudeta. Pełen oryginalności i sprytu, co chwila występuje z paradoksem; przesadza często, ale maluje plastycznie; gani, co zgniłe, pragnąłby reformy — ale przedewszystkiem i zawsze — zajmuje.

Ladawa.

*) Lipsk, Ernest Hoppe.

TEATR.

HECA NA SCENIE.

Dwa razy napisałem „Teatr" i dwa razy przekreśliłem. W rubryce sprawozdań teatralnych zamieścić wzmiankę o *Durandzie i Durandzie* „komedyi" w 3 aktach Valabrégue'a i Ordonneau'a — byłoby to powtórzyć afront, wyrządzony przez reżyserę t. z. świątyni Melpomeny.

Oto treść nowej sztuki. Jest Durand znakomity adwokat i Durand brat jego stryjeczny, kupiec korzenny, który podawszy się za tamtego, otumanił głupiego i próżnego prostaka i dostał ładną jego córkę za żonę. Ażeby jej nie stracić, trwa za wszelką cenę w swej roli, a że współwłaściciel jego nazwiska mieszka w tem samem mieście— stąd nieprzerwany łańcuch zawikłań, *qui quo pro* i sytuacyj takich mniej więcej.

Teść mniemanego mistrza w ogrodzie swoim stawia mu kolumnę, kilka metrów wysoką, która przewracając się, tłucze szyby oranżeryi sąsiedniej — i daje powód do procesu... Posługacz sklepowy zostaje kreowany na złodzieja-klienta i chowa długi fartuch pod kamizelkę... Do kancelaryi obrońcy przychodzi właściciel oranżeryi, ubrany à la Joe Bib, tytułuje się profesorem deklamacyi i sprawę swą wyłuszcza jąkaniem, dosyć dobrze naśladującym efekty Ujazdowskiego placu. Adwokat każe mu więc odśpiewać przedmiot interesu i zaczyna się pianie (p. Szymanowskiego) na nutę *Pięknej Heleny, Dzwonów kornewilskich* itd.; istna kocia muzyka, przeplatana dźwiękami wargowymi, zdolnymi zabawić chyba tylko podochoconych żołdaków... Kilka osób wpada do kancelaryi i mszcząc się za wrzekomą mistyfikacyę adwokata, tłucze mu porcelanę, łamie sprzęty i rozrzuca po pokoju wszystkie papiery, mnąc je i depcząc: widok godny zaiste szpitala obłąkanych... Za sceną znowu ci sami bohaterowie pustoszą sklep korzennika, tłuką słoje, rozbijają beczki i tworzą mieszaninę, z której poszkodowany chce zrobić pomadę na porost włosów... W przedsionku sądu kokotka spowiada się przed woźnym z miłości dla zbrodniarza, który ma być sądzonym... Teść przynosi zięciowi do sądu pudło z togą jedwabną w prezencie i o ścianę od sali posiedzeń przebiera korzennika na mecenasa... Ktoś komuś ściąga biret z głowy i szarpie na nim togę, przyczem jeden goni drugiego po scenie i chwyta za mięsistsze części ciała... Ktoś inny kładzie dwa kapelusze na głowę... Ktoś komuś przynosi w podarunku szynkę, zająca i daktyle i każdy z osobna obciążony tymi pakunkami błaznuje, jak może... Ale nie, nie zliczę wszystkiego a jeszcze do dziesiątej części daleko!

Widać było w teatrze takich, którzy nie dowierzając własnym uszom i oczom, wzruszali ramionami. Byli i inni, na których szacunku dla naszej sceny powinno nam zależeć szczególnie, a którzy po pierwszym akcie, pogardliwie uśmiechając się, opuszczali loże... Nie przeszkadzało to jednak publiczności cieszyć się baranim śmiechem, bisować i wywoływać artystów.

Jak scena sceną, po raz pierwszy chyba tacy artyści, jak pp. Ostrowski, Szymanowski, Wolski, Prażmowski, pani Lüde (panny Czakówna i Snażanka też) rywalizowali zwycięzko z clownami, ba, przewyższali ich piskiem, krzykiem, gonitwami, i dodajmy, wyrazem twarzy, z którego wyczytałbyś łatwo, że są w nieswojej skórze. Może to zresztą zwykły mój optymizm temu winien — ale czuć było, że się uważają za ofiary jakiegoś psiego figla, który deski „Rozmaitości" oddał do rozporządzenia dwom Durandom a kazał aktorom przedzierżgnąć się w „durniów."

Pisma codzienne twierdzą, że p. Ostrowski sam wybrał sobie tę hecę na swój benefis. Nie może to być prawdą i nie ulega wątpliwości, że wybór został mu narzucony przez kogoś innego a nie przez własne poczucie artyzmu, graniczące z pierwszorzędnym talentem i tak dla wszystkich sympatyczne.

W każdym razie jeżeliby miał wkrótce wypaść nowy jaki jubileusz — pragnąłbym bardzo wyrazić moją cześć dla przyszłego benefisanta zaproponowaniem konkursu na wybór sztuki. Kilkoma tematami mogę służyć zawczasu: „Wypadek indyczki w tataraku," „Taniec ryby z rakiem wobec cebuli." Bądź co bądź są to „komedye" lepsze od *Duranda i Duranda.* Honoraryum przeznaczam na stypendyum dla kataryniarzy chodzących z małpami po dziedzińcach.

Cez. Jel.

POEZYA.

WSZYSTKO MIJA...

Wszystko mija... Szczęśliwy zadrży przed tem słowem.
On przypił się do życia, jak Falstaff do dzbana,
I nie chciałby go niczem zastępować nowem,
I strasznie mu, że uczta może być przerwana.

Ale komu dokoła wszystko w gruz się wali
I czyją pierś wciąż kąsa strasznych zgryzot żmija,
Ten od chwili obecnej uciekłby najdalej,
I za całą pociechę ma myśl: wszystko mija...

Wiktor Gomulicki.

FEJLETON.

PO ŚWIECIE.

VII.

Poeta na przebój. — Po pociechę. — Życie florenckie. — Idealny kochanek. — Gęsi z Kapitolu.

Jeśliś czytelniku nie widział Nicy i Riviery, a pragniesz, nie chcąc być gorszym

od naszych zrozpaczonych, szukających tam pociechy po krajowej ruinie — obaczyć je cudzem okiem, okiem poety, odszukaj w *Kuryerze warszawskim* (z 22 kwietnia b. r.) kronikę p. Jeske-Choińskiego. Widzisz?.. „*Czoło* jej kąpie się w kapryśnych falach“— właśnie jakby była zdechłym nad wodą baranem; od północy „sklepienia niebieskie opierają się na ostatnim *warkoczu* gór“ — coś jak kapelusze damskie z przed ćwierćwieku; od południa „statki posuwają się z taką rozkoszą, że zdają się stać na miejscu,“ a „nad całym krajobrazem *wieje* błękitna przezroczysta mgła.“ Po tem wszystkiem nie zadziwi cię spostrzeżenie kronikarza, że „morze Śródziemne ciągle się na coś i na kogoś gniewa.“ *Pardiu!* jeżeli często nosi na sobie takich niepoetyckich gości. A przecież opis ten stylem nic wyskakuje ponad nieszczęsną formułę naszych kronikarzy-poetów. Niejeden nawet czytelnik prześliźnie się po nim, nie poczuwszy, że przejechał po szczotce. Cóżbyście powiedzieli, gdybym wam posłał taki opis Florencyi: Rozsiadła się jak nimfa, na szerokiej, na kwiecistej dolinie; głowę oparła o zielone poduszki zczerniałych etruskich grobów fiezolańskiego wzgórza, nogi plucze w nurtach kryształowego boga Arna. Na łonie swem pieści pałace Medyceuszów, Ricardów i Strozzich; tu kampanila Giotta rozbija się marmurowem czołem o wiotkie błękity, tam kopuła Brunelleschiego dziwi się małości nowożytnej architektury europejskich stolic, itd. Jak spostrzeżecie, jest tu szereg niedorzeczności, pod którym by się jednak mógł odważnie podpisać kronikarz, twierdzący o Nicy, że „nie ma tam tylko słońca, jakby się zdawało.“ Aj, biedny *Kuryer*, da-ż się mu we znaki ta fantazya, rozgrzana w kraju, dokąd p. Ch. pojechał zapewne oglądać wystawę i gdzie pod lato pocznie nieszczęsny, że „jest więcej słońca, niżby się pragnęło.“

Ja tam o opisy południa się nie kuszę, zwłaszcza, że będziecie ich mieli pewno secinami; w ostatnich dniach bywało: rzuć kamieniem — spadnie na polaka; a zaczynają rzucać je zewsząd i to coraz twardsze. Pielgrzymi wracają ze spuszczonemi głowami; na co oni poszli tam biedacy i wieszali oczy u uśmiechniętych warg Ojca świętego — żartowniś mógł porównać te oczy smutne do ozdób hotentockich piękności...; sądzili, że ich pocieszy, a on odszedł, pokazawszy im łydki w królewskiem podwinięciu płaszcza. Byli to po większej części galicyjscy księża i ludek w sukmanach. Święty jest instynkt ludu: wiecie, gdzie poszli po pożalowanie? Do śpiewaka pieśni gminnej, tej „arki przymierza“ tego kościoła jedynie nieśmiertelnej religii. Niezawodnie rzadko widywali włosi takie budujące sceny, jak w Rzymie owacyę południowych słowian dla Strossmayera; ta gromada pątników z charakterystycznemi fizyognomiami, śpiewająca mu przed domem dawno niesłyszane nuty, było to coś wesołego i rzewnego razem — i są tacy, którzy niepokoją się o chłopską przyszłość! Bez obawy: nasz chłopski rozum włoską chytrość ubieży.

Florencya pożegnała bez żalu królowę Wiktoryę: myślę ja, że nie powinno się wybierać na rezydencyę miasta tak nawskroś artystycznego, skoro się ma nieszczęście posiadać twarz i sakiewkę tak małomieszczańską; odjechała, ofiarowawszy na cele dobroczynne 5,000 franków, które nie opłacą nawet wspaniałego pochodu z lampionami, jaki jej urządzono jednej nocy. Za to królowa serbska cieszy się zachwytem mieszkańców, między którymi wszystko, co piękne, staje się natychmiast popularnem aż do poufałości, dowodem królowa włoska, „nasza Małgorzatka.“ Maj; ciepły wiatr roznosi mocny zapach sprzedawanych pękami konwalij; wyścigi konne, pochody kwiatowe, sławne florenckie *corsi di fiori*; trzynaście teatrów otwartych; Florencya wyprawia dożynki po sutem żniwie. Odczyty i konferencye publiczne pokończone; jedną z ostatnich we Florencyi zamknął profesor Mantegazza, autor *Fizyologii rozkoszy*, szereg wykładów antropologii, a w Rzymie Jozue Carducci zbudował pleć piękną dziejami szczęśliwego trubadura, Dżofreja Rudela, księcia Blaia. Podczas jednak gdy pierwszy pod profesorskim płaszczykiem zdradza dyletanta cenionego więcej w kobiecym, niż uczonym świecie, drugi czyni z każdego swego wykładu wszechstronne i wyczerpujące studyum; jak tu objaśniając charakter średniowiecznej miłości na przykładzie owego trubadura, który zakochał się w księżniczce typolitańskiej, nie widząc jej, a tylko o jej piękności i cnotach z ust pielgrzymów słysząc: a potem wsiadł na okręt jechać do niej, lecz w drodze zapadł mocno tak, że ledwo dowieziono go żywym i złożono w gospodzie; gdy się zaś o czułym a nieznanym kochanku dowiedziała księżniczka, przyszła doń sama, wzięła w ramiona, ucałowała trzy razy, a gdy skonał, kazała go pochować w kościele chrześciańskim, poczem przywdziała habit mniszy. Oto śliczny temat do publicznego odczytu, który Carducci pogłębił paralelą Leopardiego w *Consalvie* i ustroił w styl swój równie czarodziejski w poezyi, jak w prozie.

Śledźcie uważnie wszystkie fazy kwestyi pomnika Giordana Bruna: złożą się z nich ciekawe przyczynki do spółczesnej historyi. Wiadomo, że zeszłego roku komitet postanowił zażądać od rady miejskiej kawałka gruntu na *Campo dei Fiori*, który to plac nawet nazwano odtąd placem Giordana Bruno; wówczas municypium przewlekało sprawę, nie śmiąc stanowczo odmówić, bo watykańskie jego sympatye trusiały wobec rozgrzanej jubileuszem Brunona opinii publicznej. Ale dziś rada miejska zhardziała wobec podniesionego uroku papieskiej powagi i oto przyszło przed kilkoma dniami do gwałtownego starcia na Kapitolu (1 maja b. r.).

Od południa tłumy ludzi ciągnęły po szerokich stopniach *Campidolio* ku posągowi Marka Aureliusza; sala radna zapełniła się po brzegi. Na porządku dziennym stała propozycya Caetaniego i Baccariniego, tycząca się gruntu pod pomnik. Caetani, popierając wniosek swój, tak kończył: „Zamierzono uczcić założyciela filozoficznego systemu, który zajmuje poczetne miejsce między Spencerem a Spinozą. Nakoniec chciano uczcić w Giordanie Bruno człowieka, który uświęcił życiem największą zdobycz naszego wieku — zupełną swobodę myśli... Po tem wszystkiem nieprawdą jest, co powiedziano, że pomnik ten byłby obrazą uczuć religijnych lub protestem przeciw *duchowej* władzy papieża. Ateuszem Giordano Bruno nie był nigdy, a tu nie ma ani obrażających, ani obrażonych itd.“

Większość rady znała od dawna sposób wymknięcia się: Righetti zastawił ją kwestyą niekompetencyi, jako że sprawa pomnika wychodzi po za sferę administracyjną.. Podniosły się protesty, obelgi, zgiełk taki, że ostatecznie wyproźniono salę i posiedzenie zamknięto. Ale nie zamknięto ust tłumowi. Podniosły się na placu krzyki: Precz z klerykałami! Śmierć księżom! Precz z czarnemi gęśmi! Do Crispiego, do Crispiego! Ruszono, już wieczorem przy fantastycznem oświetleniu woskowych zapałek przez plac Aracoeli, plac Wenecki, Corso, plac kolumny na ulicę Gregoryańską. Po drodze naturalnie okrzyki: viva Giordano Bruno, popularne hasło, które się dziś w całej Italii, zwłaszcza między studentami podnosi przy lada okazyi. Przed domem prezesa ministrów wybrano bardzo porządnie komisyę, którą wysłano na górę. Crispi naturalnie poznał jej racyę, uznając równocześnie legalne postąpienie burmistrza. „Nie trzeba było przyjmować prowokacyi. Syndyk uczynił legalnie, rozwiązując was. Pamiętajcie, że macie w rękach dobrą sprawę i że dobre sprawy ostatecznie zawsze tryumfują, zwłaszcza, kiedy mamy dziś liberalnego króla.“ I dodał: „Myślcie o wzmocnieniu się przy następnych wyborach.“ Musi więc czekać Giordano Bruno, póki czarne gęsi nie zlecą z Kapitolu, co jednak nie nastąpi prędko: za mocno siedzą tam na jajach tradycyi — jakby rzekł kronikarz, którym zacząłem i którym kończę.

Egrot.

LIBERUM VETO.

Nieprzewidziany „evenement.“ — Zaklęcie złego ducha. — Odezwa do powietrza. — Wyrok komisyi w sprawie Ogrodu Saskiego. — Prus jako jej obrońca. — Łańcuch luźnych ogniw. — Prawa wygody.— Kapłan Hygei przeciw jej przybytkowi. — 50 rocznica śmierci J. Śniadeckiego. — Pożądana ocena jego zasług naukowych. — Znamienne zestawienie. — Towarzystwo stręczeń pracy.

Już zdawało się, że tydzień miniony przejdzie bez silniejszych wrażeń i jedynem jego wzruszeniem będzie zachwyt *Warszawskiego* nad *Kłosami*, a *Codziennego* nad *Tygodnikiem ilustrowanym* (tajemnica tych stałych upodobań jest dotąd niezbadaną). Tymczasem dobry los pod koniec tygodnia zesłał nam — jak mówi literacka gwara warszawska — *sensacyę*. Oto komisya obywatelska, wyznaczona dla oznaczenia kierunku nowych kanałów, nietylko oświadczyła się za wyprostowaniem linii biegu rury przez Ogród Saski, ale nadto za połączeniem ulicy Marszałkowskiej z Placem Bankowym i zniszczeniem szóstej części „letniego salonu“ Warszawy. Fakt ten byłby zawsze dość drażniącym nerwy dzienników zajętych sprawami gospodarstwa miejskiego, tem bardziej zaś wywołał „sensacyę,“ że padł na uwagę publiczną w chwili, gdy ją zajmowały tylko wspomniane miłostki dwu *Kuryerów*. Stał się tedy — jak powiada gwara nasza — wielki *evenement*. Zaczęto w prasie żywo rozprawiać i głosować, zarysowały się stronnictwa, a wtedy, kiedy sądziłem, że będę niemym świadkiem tej walki, rzucono mi w kilku listach pytanie: a pan co o tem myślisz? Nie ma rady: kto piastuje teczkę ministra opinii publicznej, musi odpowiadać na interpelacye. Rad nierad muszę zająć stanowisko wobec tej sprawy.

Ale przedewszystkiem niech mi wolno będzie zakląć (zwłaszcza że rzetelny polak od tego zaczyna każdą ciężką pracę): bodajżeś na galaretę rozgotował się w smole szatanie za to, żeś kazał literatom myśleć o rzeczach, które należeć powinny do inżenieryi miejskiej.

A teraz — filozofujmy. Każdy z nas przyzwyczaił się do tego, ażeby jego słowa bez skutku przepadały w głuchej puszczy; więc i ja nie będę miał o to żadnej pretensyi, przeciwnie, zaznaczam wyraźnie, że z przemową moją zwracam się do—powietrza. Nie widzę bowiem innego słuchacza. Wprawdzie istnieje ciało rzeczywiste, zwane komisyą, obdarzone prawem objawiania swego głosu o przyszłości ogrodu Saskiego, ale nie posiada ono nawet tyle władzy, ile np. sejmik ortograficzny wobec naszej pisowni. Większość owej komisyi wydała wyrok, ale ten wyrok musi przejść przez rozmaite, coraz wyższe trybunały, które mogę uznać, że uchwała pierwszej instancyi ma wartość tylko majówkową. Przeciągać kogoś na torturach dziennikarskich za to, że sobie na świeżem powietrzu wypowiedział osobiste zdanie o kanalizacyi i połączeniu ulic, byłoby okrucieństwem, tem niesprawiedliwszem, że gdyby maj nie był tak zimny i gdyby komisya obradowała w dniu ciepłym, a podczas rozmyślań czuła dobrodziejstwo ogrodu, z pewnością jednogłośnie zaleciłaby jego nietykalność. Jedyną tedy pobudką do pomsty na tem ciele jest przypu-

szczenie, że jego słowo ciałem stać się może. W imię tej możliwości ruszmy na Soplicę, a raczej na Bolesława Prusa, który wystąpił jako obrońca milczącej oskarżonej.

Dowodzi on, że lepsza czystość niż ozdoba, lepsze zdrowie, niż zabawa. „Na całym świecie — powiada on — dano by pierwszeństwo czystości nad ozdobą, kanałowi nad aleją, ułatwionej komunikacyi ludzi pracujących nad spacerami próżniaków. Ale my warszawiacy mamy oryginalną logikę i z tego powodu gotowiśmy nawet poświęcić *zasadę* (!) kanalizacyi zasadzie nienaruszalności Saskiego ogrodu... Oto argumentacya *echt* warszawska. Ludzi trapi tyfus, błonica, ospa itp. choroby, które przez skanalizowanie miasta możnaby zmniejszyć. Dokucza im utrudniona komunikacya z przyczyny Saskiego ogrodu, który dziś potrzeba okrążać. Lecz mimo to nie dotykajcie nam Saskiego ogrodu, gdyż on jest „ozdobą miasta.“ Łańcuch tego rozumowania byłby wtedy mocnym, gdyby jego ogniwa spajały się z sobą. Ale, niestety, leżą obok siebie luźnie. Pomiędzy kanalizacyą i zdrowiem miasta a okrojeniem Saskiego ogrodu niema żadnego związku. Przecie kwestya tak nie stoi: albo kanalizacya i zdrowie, albo ogród i choroby. Czy szósta część „letniego salonu“ będzie zniszczoną na korzyść ulic, czy nie, to wcale nie wpłynie na przeprowadzenie rury, dawno postanowione, chyba o tyle, że — jak donosi *Kuryer warsz.* — p. Lindley będzie miał roboty wygodne lub niewygodne. Jeżeli zaś chodzi jedynie o wygodę p. Lindleya, szkoda ogrodu. Jakim sposobem szósta jego część, poświęcona dla kanału, który w każdym razie zbudowanym będzie, zmniejszy nam tyfusy, błonice itd.— napróżno bym zgadywał. Łatwiej bym pojął, że ten zadrzewiony kawałek ze świeższem powietrzem da nieco zdrowia płucom „próżniaków.“ Pozostaje ułatwienie komunikacyi. Niema chyba w Warszawie takiego punktu, z któregobyśmy dla skrócenia drogi nie chcieli zburzyć paru domów, gmachów i placów. Bo czyż np. nie lepiej byłoby przejechać z Krakowskiego Przedmieścia przez kościół Wizytek do ul. Browarnej, zamiast okrążać przez Bednarską lub Oboźną? Jeżeli ul. Kotzebuego połączymy z Marszałkowską, a tę z placem Bankowym, czemużbyśmy mieli odmówić tej przyjemności Placowi Saskiemu i Żelaznej Bramie również przez Ogród Saski? A w takim razie po co go wogóle utrzymywać? Prus jest apostołem Hygei i prawami jej obrządku gotów pognębiać wszystkie inne; czemu więc przybytku tej swojej bogini nie widzi w ogrodzie Saskim, w którym żadna muza nie postawiłaby słuszniej swego ołtarza — nie rozumiem. Wszakże ogród ten nie jest tylko miejscem przechadzki dla próżniaków, lecz także zbiornikiem świeższego powietrza dla miasta. Gdyby go nie było, gdzież ucickaliby chorzy, starcy, dzieci itd.? Ich potrzeby są co najmniej równoznaczne wygodzie koni, zmuszonych dziś „okrążać“ drogę bardzo małym łukiem. Niech Prus dla tego względu spróbuje poradzić wiedeńczykowi przecięcie ulicami Volksgartenu lub paryżanowi ogrodu Luksemburskiego— zobaczymy, czy nie odpowiedzą mu „logiką *echt* warszawską.“

Powtarzam, że mówię do powietrza, bo nie przypuszczam, ażeby zdanie prasy miało w tej sprawie przewagę: gdybym jednak był komisyą biegłych — nie radziłbym, a gdybym posiadał władzę, nie pozwoliłbym niszczyć ogrodu, ani dla wygody p. Lindleya, ani dla wygody koni, a tym oporem ani nie naruszyłbym „zasady“ kanalizacyi, ani nie sprowadził na miasto tyfusów i błonic.

W tygodniu niniejszym przypadła 50 rocznica śmierci jednego z największych myślicieli polskich, Jędrzeja Śniadeckiego. Niektóre pisma uczciły tę pamiątkę wspomnieniami zasług autora *Teoryi jestestw organicznych*, wspomnieniami, w których się znalazła i cześć należna, i żal serdeczny, i przesady trochę. Poważnego i gruntownego rozbioru owej *Teoryi*, oceny jej znaczenia historycznego i tegoczesnego nie spotkaliśmy nigdzie. Twierdzenie, że Śniadecki był „twórcą biologii,“ a niepamięć Europy o tym jego tytule jest winą „zdziczenia wiedzy, jej sekciarstwa i wysługiwania się celom, nic wspólnego z nauką niemającym,“ wymagało oparcia silniejszego, niż kredyt gołosłownego frazesu. I nietylko z powodu 50 rocznicy śmierci, ale bez żadnej daty pamiątkowej przydałaby się literaturze naszej praca, któraby oznaczyła miejsce *Teoryi jestestw organicznych* w dziejach badań biologicznych i jej stosunek do obecnego ich stanu. Którykolwiek z młodych przyrodników powinienby to wdzięczne zadanie podjąć z należytem znawstwem przedmiotu i bezstronnością.

Przystojniej tak ważną sprawę pominąć, niż ją niepoświęconem piórem dotykać. Dlatego nie wtrącając swego głosu w sądy o przyrodniczej teoryi Śniadeckiego, zaznaczę oddalony od niej, a jednak znamienny rys w jego umysłowości. Był on stałym członkiem towarzystwa Szubrawców i współpracownikiem *Wiadomości brukowych*, pisma na owe czasy bardzo wolnomyślnego i humorystycznego. I nie uważał tego za ujmę dla swej powagi! A który by to z naszych obecnych uczonych, niegodzien Śniadeckiemu rozwiązać rzemyka, zniżył się do takiej roli? To arystokraci i arcykapłani, przebywający w salonach i świątyniach! Gdyby niejednemu z nich zaproponowano udział w piśmie podobnem do *Wiadomości brukowych*, wziąłby to za zniewagę. Niedawno jeden z lekarzów mówił mi:

— Walczyć z p. Ochorowiczem nam nie wypada, a jeśli już koniecznie trzeba, to wypada tylko w jakimś organie specyalnym.

Inaczej rozumowałby i zrobił Jędrzej Śniadecki, tak jak inaczej rozumuje i robi Virchow, któremu europejska sława nie przeszkadza pisywać ciętych artykułów do *Vosische* lub *Freis. Zeitung*. Tą drogą idą zawsze ludzie, którzy nie sądzą, że im spadnie korona naukowa z głowy, gdy się odezwą jako obywatele kraju.

Młodzież nasza, kształcąca się w wyższych zakładach naukowych Cesarstwa, miewa zwykle rozkoszne sny, w których po wyjściu ze szkoły widzi się pracującą na polu niedaleko gniazda rodzinnego. Życie zwykle te marzenia targa i rozrywa — dla czego? Dlatego, że pomiędzy temi siłami a tem polem niema żadnego mostu. U nas często się zdarza, że przez ścianę sąsiaduje z sobą dwu ludzi, z których jeden szuka uzdolnionego chemika, a drugi jest uzdolnionym chemikiem i szuka zajęcia, a obaj o sobie nie wiedzą. W Cesarstwie istnieją towarzystwa, opiekujące się młodymi ludźmi po wyjściu z zakładów naukowych. My takiego organu stręczeń pracy nie posiadamy. Zastępuje nam go frazes, że wszędzie głów i rąk nadmiar, a zatrudnienia dla nich brak. Czy tak jest rzeczywiście? Na to pytanie ściśle odpowiedzieć by mogła tylko statystyka popytu i podaży pracy; samo wszakże doświadczenie okazało każdemu z nas niejednokrotnie, że chociaż w wielu dziedzinach zapanował istotny natłok, ciągle słyszymy skargi na brak odpowiednio uzdolnionych pracowników. Wątpię, czy jest jakakolwiek sfera przemysłu, jakiekolwiek przedsięwzięcie, jakakolwiek fabryka, gdzieby tego rodzaju utyskiwania nie odzywały się. A jednocześnie gromada ludzi ukształconych, zdolnych i sumiennych marnieje w bezczynności lub rozprasza się po szerokim świecie. Czy tego dziwnego położenia nie usunęłoby rozumnie i poważnie uorganizowane towarzystwo stręczeń pracy?

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Wiosenne kwilenia rolników. — Co u nas robi czternaście towarzystw ubezpieczeń od ognia? — Warunki asekuracyi chłopskiej. — Jak się miasteczka i wsie budują. — Ojców zagrożony. — Niepomyślne wieści z za Oceanu radość nam przynoszą. — Jaja za granicą i u nas.

Przez zimna, deszcze i grady zbliża się lato. Zanim słowiki umilkną i młode jaskółki się wylęgną, już rolnicy kwilić zaczynają na nutę klęsk z wysoka spadających. Przyjdzie susza, będą klęski nowe, z dołu do góry, zajaśnieją wsie i miasteczka pochodniami, a Towarzystwa ubezpieczeń wprawią w ruch swych członków od sprawdzania pogorzeli. Niejeden z czytelników może ciśnie mi słowo przekleństwa za te straszne przepowiednie. Ale jam nie prorok, przepowiadam to, o czem każdy z nas jest przekonany. Wypadki z ogniem dzieją się co lata i dziać się będą bez końca, dopóki jakimś cudem maszynerya obecnych urządzeń nie zmieni się na inną. Zwróćmy uwagę na dziwny fakt. Działa u nas *czternaście* towarzystw ogniowych, a pomimo to krajowi co rok przybywa ciężar z setek nędzarzy pogorzelców. Ludzie ci znękani, wyciągający ręce żebracze, byli przedtem gospodarzami jeśli nie dostatnimi, to przynajmniej mogącymi jako tako wyżywić siebie i rodziny. Cóż więc robi u nas owa czternastka? Oto bawiąc się w „ryzyko,“ poluje na wielkie zyski, czyli ubezpiecza większe mienia na sumy wielkie, przepis zaś dla „maluczkich“ tak mniej więcej brzmi: Ubezpieczenia chłopskie mogą być przyjmowane *w razach wyjątkowych, w sposób wyjątkowy*, nie wyżej jak do 3/4 wartości i tylko położone oddzielnie, gdzieś na uboczu w pustce. Kolonistów można przyjmować tylko, gdy przynajmniej trzecia część kolonii odrazu przystępuje. Rządowe ubezpieczenie nieruchomości drogą przymusu jeszcze nie wystarcza. Zapas zboża i ziarna dla chłopa często większą ma wartość, niż lichy, walący się budynek. A więc jeszcze raz wracam do czternastki. Przypuśćmy, że się „wyjątkowe razy“ znalazły, że trzecia część kolonii przystąpiła jednozgodnie do asekuracyi. Znajduje się nawet ktoś życzliwy, co doradza: „Zróbcie zbiorowe podanie i jeżeli nie będzie was za dużo, może wam ubezpieczą słomę po dziesięć złotych za kopę.“ Podrapali się po głowie: „E, proszę pana, takie ubezpieczenie to niucha tabaki nie warte.“ A dlaczego tak mówią? Bo nasze towarzystwa są zamiłowane w drobiazgowości, nużącej i bezcelowej formalistyce (właściwie celowej dla samych instytucyj i dla tych, co mają silę zadość uczynić tym zawiłościom). Żądanie ułożenia i prowadzenia szczegółowej kontroli zapasów zboża, słomy, wysiewów itd. od chłopa jest wprost śmiesznem i niedorzecznem. Wszak kmieć włókowy i bez ksiąg rachunkowych wie doskonale, gdzie stoi kopa, leży snop lub korzec ziarna; pamięć w tym kierunku ma świetnie wyćwiczoną. Nie sama tylko formalistyka odstręcza lud od ubezpieczenia ruchomości, ale bajecznie nizkie ceny brane za podstawę asekuracyi słomy i paszy. *Wiek* zwraca uwagę na opłakane warunki bezpieczeństwa po wsiach i miasteczkach. Jeszcze w r. 1820 komisya spraw wewnętrznych i duchownych opracowała przepisy budownicze do miast, uzupełniane aż do r. 1859. Wsie i tutaj znalazły się na ostatnim planie, gdyż zalecono im tylko zaprowadzenie pewnych przyborów ratunkowych, a na wadliwy sposób wznoszenia budowli nie zwracano nawet uwagi do dnia dzisiejszego. Podobno istnieje przepis komisyi spraw wewnętrznych, zabraniający wznoszenia domostw w skupieniu, a nakazujący pozostawianie pewnej wolnej przestrzeni, ale snadź nikt o ten paragraf nie potrąca, skoro jeden

z mólów prawnych (w *Wieku*) nie mógł go odszukać w siedemdziesięciu tomach dziennika praw. Trudno byłoby dziś ten przepis ukryty wprowadzić w życie, chyba że wszystkie miasteczka i wioski spłoną po kolei. Wprawdzie obywatele i księża w wielu miejscach próbują przekonać lud, lecz prawie zawsze bezskutecznie. Chłop wie, że jest niebezpiecznie skupiać wszystkie budowle w jednem miejscu, przytykać je do gospód sąsiedzkich, ale zwyczaju, który wszedł w nałóg, pozbyć się nie może. Tym sposobem na pogorzeliskach powstają nowe wsie i miasteczka, często z ulepszeniem, bo prócz zachowania dawnego planu, zjawiają się dachy słomiane na domach mieszkalnych. A jakież przy tem wszystkiem są środki ratunkowe? Sikawki (w miasteczkach) porozsychane, bez wężów, z popsutymi tłokami. Bywają one w stanie doskonałym, gdy burmistrz w mieście, a wójt w osadzie spodziewa się rewizyi (zdarza się to bardzo rzadko). Ale nieraz w chwili pożaru sikawek użyć nie można, pomimo ich zdatności, bo są zamknięte w szopie (tak przepisy każą), a klucz pan wójt lub burmistrz zgubił wczoraj, albo gdzieś z nim pojechał. Zdanie Rady państwa z 11 stycznia 1877 r. pozwala rządom gubernialnym Królestwa na udzielanie gminom pożyczek w celu zakupu narzędzi ogniowych; podobno dotąd z tego przywileju jeszcze nigdzie nie skorzystano. *Wiek* sprawę asekuracyi małorolnej poleca warszawskiemu Towarzystwu popierania przemysłu i handlu. Adres dobry; czy tylko to nie będzie nad wątłe siły instytucyi bezustannie obarczanej ważnemi sprawami.

W niedalekiej przyszłości będziemy żałowali, iż nie mamy żadnych ubezpieczeń od tępicieli lasów. Kto widział Ojców, nasycał wzrok tą przecudowną miejscowością, szeroko oddychał powietrzem zdrowem śród lasów tamtejszych, zapłacze gorzkiemi łzami. Jak alarmuje *Dziennik łódzki* na mocy pewnych wieści, wkrótce wpadną wandale z toporami na wspaniałe świerki i modrzewie. Sprzedał je handlarzom z Działoszyc obecny właściciel uroczej miejscowości, margrabia Gordon, z prawem cięcia w ciągu dziesięciu lat. Cena sprzedażna 50,000 rubli nie dorównywa polowie istotnej wartości lasów. „Trudno dziwić się rozpaczliwym wysiłkom ratowania się — powiada *Dziennik* — lecz co zadziwia, to, że jeden z najzamożniejszych hrabiów polskich, nabywszy wierzytelności na dobrach ojcowskich bankierów z Berlina, Peresa i Hassmana, posiada około 100,000 rubli zabezpieczonego hipotecznie na tychże dobrach kapitału. Nie mógłże przeszkodzić zniszczeniu, a tem samem ocalić historyczne schronienie Łokietka... Niech spieszy, kto nie widział Szwajcaryi polskiej, bo wkrótce pozostanie z niej skałami wyłożony grób." Margrabia nie będzie czulym na to zawodzenie. Gdybyśmy byli bogaci, to bym poradził: niech kraj uderzy w tkliwą strunę— złoży magnatowi pięćdziesiąt tysięcy jałmużny na zachcianki. Byłoby to niemoralne, ale gdy nie mamy dość siły na skarcenie szkodników, trzeba im dogadzać, by się prędzej pozbyć...

Kiedym się przyglądał niedawno zabawom na Ujazdowie, Kaśkom i Maryśkom tryumfującym na wyżynach... młyna djabelskiego, nasunęło mi się podobieństwo spraw ekonomicznych naszego globu do tego młyna. Czyż tak nie jest w obecnej chwili? Gruchnęła wieść o złym stanie zasiewów w Ameryce północnej, więc zapanowała radość na rynkach w Europie, wstąpiła otucha w serca rolników. Pierwsza wiadomość brzmiała: „W Stanach Zjednoczonych *niepomyślnie* na polach." Dodatek starego świata: „wobec tego rolnictwo europejskie na czas pewien traci najniebezpieczniejszego współzawodnika i może nieco *jaśniej* w przyszłość spoglądać." Następnie urzędowe sprawozdania stwierdziły, że żniwa ozimej pszenicy na nowym lądzie wynosić będą ledwie 82% zeszłorocznego plonu. Dzięki tym alarmom istotnie się przejaśniło na naszym widnokręgu ekonomicznym. Handlarze lekceważący produkty rolne, patrzą na nie dziś już z pewnym szacunkiem, a rezultatem tego jest ogólna „zwyżka."

Byłoby pożądanem, aby ten amerykański bodziec oprócz radości otrząsnął naszych ziemian z senności i niedołęztwa i pchnął do czynu choćby w tych drobnych gałęziach przemysłu, które u nas idą na poniewierkę, a zagranicy od dawna przynoszą miliony. Zobaczmy z blizka, co tam robią z drobiem i jajami. Podług Espaneta Francya posiada około 48 milionów kur, dających niespełna 6 miliardów sztuk jaj, wartości 500 milionów franków. W r. 1869 w samym tylko Paryżu sprzedano na targu centralnym (Halles Centrales) przeszło 244 milionów jaj wartości 17,129,000 fr., nie licząc 14 milionów sztuk drobiu. W r. 1871 wywóz jaj z tego kraju do Anglii wzrósł do 700 mil. sztuk wartości 1,265,484 funt. szt. We Francyi do niedawna hodowla drobiu pozostawała wyłącznie w rękach małych przedsiębiorców. Obecnie wkroczyła już na drogę innych szerokich gałęzi przemysłu. Powstały wielkie zakłady, a nawet jeden z ich właścicieli w Gambais za zasługi na tem polu otrzymał krzyż legii honorowej! (Czy i to nas nie zachęci?) W Niemczech istnieje trzysta „stowarzyszeń hodowli drobiu." Wprowadzają one piękne, pożyteczne rasy, urządzają specyalne wystawy z nagrodami, zakupują i rozlosowują pomiędzy członków najlepsze okazy, ułatwiają nabywanie ich ogółowi, mają nawet pisma własne. We Włoszech są wielkie zakłady. Przed kilku laty powstało tam udziałowe towarzystwo hodowli drobiu z kapitałem 300,000 fr., które w pierwszym już roku przyniosło dochodu czystego 14%.

A u nas? Jest to przemysł babski, przedmiot irytacyi obywateli wiejskich. Włościanie tylko gałąź tę poważniej traktują, a najpoważniej — żydzi. Prowadzą oni handel z zagranicą. Z samego Płocka od wiosny do jesieni wywożą corocznie statkami parowymi 15,120,000 sztuk. Z czasem z tych jaj szlachecko-chłopskich kur powstaną nowi dziedzice i wyprą starych. *Korespondent płocki* biada nad pogardzaniem przez ziemian naszych tego ważnego źródła dochodu. Biedne gosposie nie mogą nawet wybłagać lepszej strawy dla swych przyjaciół skrzydlatych. Pan domu uważa za wielką hojność, jeśli raczy od czasu do czasu ze spichrza wydać kilka garści stęchłego lub spleśniałego pośladu. Niejedna musi ukradkiem dobierać się do składów mężowskich, chcąc swych ulubieńców ratować od głodowej śmierci. Kurniki — jak twierdzi pismo — mogłyby nastręczyć obszerne pole do działania towarzystwu przeciw dręczeniu zwierząt. W zimie biedne ptactwo odmraża nogi i grzebienie, a latem wskutek nieczystości dręczone jest pasorzytami.

Drogomir.

SPROSTOWANIE.

Niezasłużony ale szczęśliwy. W ostatnim swoim numerze czcigodny *Przegląd katolicki* daje niżej podpisanemu surową nauczkę za następujące przewinienie. Korespondent *Prawdy* z Krakowa, dotykając w numerze 16-m sprawy pomnika dla Piusa IX, ostrożnie wyraża domysł, iż przyczyna, dla której pomnik ten dotąd na Wawel wprowadzony nie został, tkwi w niechęci poprzedniego papieża dla jezuitów a także niechęci dla niego dzisiejszych biskupów. Z tego powodu—ja dostałem cięgi i parę ironicznych komplementów. Ależ, szanowny organie naszego duchowieństwa, pod wyklętą przez ciebie korespondencyą, podpisany jest p. *Mor* a nie *Cezary Jellenta*, który przecież, znając drażliwość miejscowych augurów, nie śmiałby wcale przesyłać pod ich adresem uwag napomykających o wydziedziczeniu Piusa IX przez dzisiejszy nastrój Watykanu z zasług i sympatyj. Jak można było posądzać o podobne bluźnierstwo mnie, który już przez samą dla *Przeglądu katolickiego* wdzięczność za kilkakrotną reklamę nie poważyłbym się wtykać nosa w stosunki święte i nietykalne.

Najzabawniejszy w tem zacietrzewieniu polemicznem jest morał *Przeglądu*, zawarty w tej, mniej więcej, maksymie: że *mendax debet esse memor*, czyli że bluźnierca powinien był pamiętać, iż lat temu kilka *Prawda* sama powstawała przeciwko uczczeniu pomnikiem nie-polaka. Prawdziwie kapłańska konsekwencya! Pismo za leniwe spojrzeć na podpis artykułu, zżyma się, iż ktoś nie umie na pamięć ośmiu roczników tygodnika, który od niedawno dopiero zasila.

Ostatecznie więc z bólem serca założyć muszę „ekscepcyę osoby" i, pozwoli szanowny *Przegląd*, że bez jego upoważnienia skargę przekażę właściwemu winowajcy, z tym większym spokojem i czystszem sumieniem, że prawdopodobnie nie zrobi ona skutecznego zamachu na jego zdrowie i dobry humor*).

Cezary Jellenta.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Petersb. Wied. donoszą, iż sprawa zniesienia kary zesłania na Syberyę ulegnie zwłoce z powodu trudności finansowych. Według obliczenia ministeryum skarbu, wprowadzenie tej reformy obarczyłoby skarb kosztami utrzymania 11 tysięcy aresztantów, czyli około 440,000 rs. rocznie, oprócz budowy pomieszczeń na taką liczbę osób.

Wydział prasy udzielił p. Puzyrewskiemu koncesyę na wydawanie w Petersburgu czasopisma ruskiego p. t. *Korespondencya słowiańska*. Ma ono podawać wyciągi i tłomaczenia z dzienników zachodnio-słowiańskich i polskich. Cena roczna rs. 80.

Koleje żelazne. Z powodu mającego nastąpić przejścia niektórych kolei żelaznych udziałowych na rzecz skarbu, wynikła kwestya, czy żetony, wydane osobom prywatnym przez towarzystwa akcyjne z prawem bezpłatnego przejazdu, mają i nadal zachować swą wartość. Wyjaśnienie nastąpiło przeczące.

— W r. b. kończy się termin oddania kolei Siedlecko-Małkińskiej i Brzesko-Chełmskiej w administracyę zarządowi drogi Terespolskiej, której termin wykupu przez rząd również upływa, przedłużony ostatnio na dwa lata. Obecnie w sprawie tej w ministeryum komunikacyi toczą się narady, czy powyższe terminy przedłużyć jeszcze na lat kilka, czy też włączyć owe trzy drogi do sieci kolei Poleskich. O Terespolską stara się również towarzystwo kolei Moskiewsko-Brzeskiej, lecz władza jest przeciwna temu. Departament dróg żelaznych podaje projekt, jako najlepszy, przedłużenia obecnego stanu rzeczy jeszcze na lat trzy lub pięć.

Instytut komunikacyi. Przed siedmiu laty w Instytucie komunikacyi w Petersburgu zniesiono dwa pierwsze kursy. Dotąd przyjmowani byli tylko kandydaci, którzy ukończyli poprzednio wydział matematyczny w uniwersytecie, albo zdali egzamin podług programu dawniejszych dwu kursów. Obecnie postanowiono przywrócić urządzenie poprzednie. Kurs pierwszy będzie otwarty w r. 1890.

Okólniki tramwajowe. Zarząd warszawskiej kolei konnej rozesłał do służby swej okólniki, brzmiące, iż w razie położenia aresztu na pensyę pracownika, pozostawia się dłużnikowi 48 godzin do uregulowania rachunku. Gdyby zaś w ciągu tego czasu kwoty należnej nie mógł wypłacić, będzie mu potrącona z pensyi zaległej i odesłana, dokąd należy, oficyalista zaś otrzyma dymisyę. Ciekawi̇my, jaka to genialna głowa z urzędu tramwajowego stworzyła ten nieludzki przepis?

Parowóz mały sprowadzili jeden z tutejszych mechaników (donosi *Kur. codz.*) w celu zastosowania go do kolei konnej. Lokomotywa opalana jest naftą i podobno wcale nie wydaje dymu. Zatrzymywanie jej na miejscu odbywa się bardzo prędko. Najszybszy jej bieg wynosi tylko 10 wiorst na godzinę.

---

*) Ażeby uspokoić redakcyę *Przeglądu katolickiego* co do naszej logiki, oświadczamy, że tak dziś, jak przed kilku laty nie głosujemy za pomnikiem dla Piusa IX, a to nam nie przeszkadza uśmiechać się, że wulkaniczny niegdyś zapał stańczyków krakowskich dla papieża „ojca" zamarzł w stalaktyt, upośledzony dziś przez wzgląd na papieża „dyplomatę." *Red.*

W Piotrkowie w myśl testamentu Karola Burharda powstanie nowa instytucya pod nazwą „Zakład rodziny Adels." Przyjmowane tam będą sieroty od lat 4 do 8.

Z Merwu donoszą, iż podług wiadomości z Bucharyi, grono przemysłowców z Warszawy ma tam wkrótce założyć wielką oczyszczalnię bawełny.

Garnet, angielski okręt wojenny, stoczył na afrykańskiem wybrzeżu wschodniem walkę z uzbrojonym okrętem, wiozącym niewolników. Oswobodzono wszystkich, w liczbie 40. Inny okręt z niewolnikami, ścigany przez „Garnet," wywrócił się wskutek wichru. Stu murzynów utonęło.

We Lwowie pod przewodnictwem p. Zacharyewicza, d. 6 b. m. odbyło się posiedzenie w sprawie budowy nowego teatru. Większością 11 głosów przeciw 5 oświadczono się za wzniesieniem gmachu na części „Wałów hetmańskich." Wkrótce rozpisany będzie konkurs. Koszt budowy, oprócz dekoracyj, ma wynosić 600,000 złr.

Firma Dentu w Paryżu ogłosiła prenumeratę na wydawnictwo p. t. „Meyer et Issaac, moeurs Juives d'après E. Orzeszko, par Victor Tissot," z 21 rysunkami Andriollego.

Dyrekcya policyi w Wiedniu od 1 maja r. b. zniosła nakaz nakładania psom kagańców z powodu, iż w czasie upałów letnich przyrządy te sprzyjają rozwijaniu się wścieklizny.

Podpisy na frachtach. Według jednego z paragrafów ogólnej ustawy kolejowej, może za wysyłającego a niepiśmiennego podpisać list frachtowy osoba postronna lub nawet urzędnik ekspedycyjny. Podpis jednak taki powinien być poświadczony przez żandarma stacyjnego lub, w nieobecności jego, przez dwóch świadków. Nadto wolno na frachtach zamiast własnego ręcznego podpisu kłaść stempel wysyłającego z imieniem i nazwiskiem, albo firmą.

Nasiona traw. Ministeryum dóbr państwa ma zastosować szereg środków zniżenia ceny nasion na rynkach Rosyi. Chodzi tu głównie o zachęcenie rolników do zasiewania pastwisk.

Marki pocztowe. Główny zarząd poczt i telegrafów otrzymał od Anglii i Niemiec projekt ujednostajnienia marek pocztowych w państwach, należących do związku pocztowego.

Żołd szeregowców straży ziemskiej w Królestwie Polskiem, jak donoszą dzienniki petersburskie, będzie powiększony o $1/3$, wskutek starań p. generał-gubernatora warszawskiego.

Wystawa inwentarza. Komitet zawarł umowę o urządzenie na placu Ujazdowskim kolei elektrycznej z przedstawicielem firmy Siemens i Halske, p. Bernsteinem, który zobowiązał się oddać linię do użytku publiczności z d. 1 czerwca. Fabrykanci krajowi: p. Pasteur ofiarował bezpłatnie szyny, firma Orthwein, Markowski i Karasiński maszynę parową, stanowiącą główny motor, fabryka pp. Fitzner i Gampe z Sosnowca — kocioł parowy i komin.

W Krakowie powstał komitet, mający na celu opracowanie po angielsku podręcznika do zwiedzania miasta i okolic.

Katastrofa w Sycylii. Na nowobudującej się linii kolei pomiędzy Messyną a Palermo, podczas gdy 350 robotników pracowało przy Peloritańskim tunelu, nagle z niewiadomych przyczyn poczęły się z ziemi wydobywać gazy z taką szybkością, iż w jednej chwili wypełniły tunel. Tylko ludzie pracujący przy samych otworach ujść zdołali. Zginęło około 60 osób. Część galeryi podziemnej zapadła się. Roboty zostały wstrzymane.

Petersb. Wied. donoszą, iż w r. b. dano pozwolenie na otwarcie 17 wystaw rolniczych, między innemi w Wilnie, Kijowie, Saratowie, Kazaniu, Pskowie, Połtawie.

Szkoły. Na najbliższem posiedzeniu Rady państwa będzie rozpatrywany projekt założenia dziesięciu niższych szkół leśnych z dwuletnim kursem. Uczniów w każdej ma być nie więcej, jak 15. Wstęp wolny dla tych, którzy ukończyli szkoły powiatowe. Na utrzymanie wychowańców dyrektor szkoły, wybrany z miejscowych leśniczych, będzie otrzymywał po 180 rubli rocznie dla każdego. Po ukończeniu uczniowie stopniów nie otrzymują, lecz są zatwierdzani jako konduktorzy leśni z zaliczeniem do służby zarządu leśnego. (*Dień*).

— W radzie ministeryalnej jest na rozpatrzeniu projekt reformy instytutu leśnego. Lekcye na IV kursie mają być kończone w styczniu. W początkach lutego studenci tego kursu udają się do Lisina, gdzie się zajmują robotami praktycznemi do września. W końcu tego miesiąca odbywają się egzaminy ostateczne. Według projektu, lisińskie naukowe leśnictwo przechodzi pod zarząd Instytutu leśnego.

W Koburgu d. 26 b. m. odbędzie się kongres przyjaciół niemczyzny, na którym toczyć się mają obrady o środkach popierania znajomości języka i literatury niemieckiej za granicą. Jeszcze!

Świętopietrze. Podczas pielgrzymki austryackiej do Rzymu, biskupi galicyjscy złożyli „ojcu świętemu" 25,000 złr. Pielgrzymi francuscy — 1,400,000 fr.

Szkołę politechniczną w Rydze ukończyło w r. b. 25 polaków.

33 urzędników Banku polskiego, jako spadłych z etatu, uwolniono od służby.

Konkurs. Z pomiędzy 49 utworów, nadesłanych *Gaz. świątecznej*, otrzymała nagrodę powiastka „O Pietrku i Polonce," p. Ludmiły Nakęskiej z Jędrzejowa.

Nową lecznicę hydropatyczno-elektryczną otwarto przy kąpielach akcyjnych na Nowym Zjeździe.

Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło plan szczegółowy urządzenia kolei konnej w Kijowie.

Pożar zniszczył całe niemal miasteczko Lubań w gub. Witebskiej.

Graždanin donosi, iż przy obrachowaniu spadku po zmarłym kupcu Warszawskim wykryto niedobór 3 milionów rubli. Wierzyciele otrzymają tylko 40%.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. K. F. w Krakowie. Nie dla nas.

Matematykowi. Legendre. *Theorie des nombres.* Polskiej książki nie ma.

Petce. Różnica taka, że w tym wypadku tylko wyraz *jasny* jest polskim.

Dr. J. w P. Oettingen jest pastorem, a znając nadto jego zasady filozoficzne, wypowiedziane w *Moralstatistik*, wątpimy, czy moglibyśmy zgodzić się z jego poglądami w tej sprawie.

A. H. Przypuszczamy, że chodzi Panu o przekład dla druku: w takim razie trzeba naprzód porozumieć się z wydawcami. My żadnego tłomaczenia nie potrzebujemy.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

Wydawnictwa „Prawdy."

2) J. Brandes: **Główne prądy literatury XIX w.**
Tom I. Literatura emigrantów. Szkoła romantyczna w Niemczech rs. 1 k. 50
„ II. Literatura niemiecka — ciąg dalszy . . . . „ 1 „ 50
„ III. Rewolucya. Zasada powagi, Restauracya . . . . „ 1 „ 50
„ IV. Naturalizm w Anglii. Wordsworth, Coleridge, Walter-Scott, Keats, Moore, Shelley, Byron . . . . „ 2 „ —

3) **Ekonomia polityczna** według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona . . . . rs. 3

4) L. Liard: **Logika** . . . . „ 1

5) A. Espinas: **Społeczeństwa zwierzęce**, wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii.
Autor przedstawia ustroje życia zbiorowego śród zwierząt, dostarczając niezmiernie ciekawych objaśnień stosunków ludzkich.
Cena . . . . rs. 3

UWAGA. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą **za połowę ceny**. Na koszta przesyłki pocztowej dołączyć należy kop. 15 do każdego rubla.

6) E. Taylor: **Zmyślność i moralność roślin**
Treść: Przebiegłość kwiatów. — Ich dyplomacya. — Gra w chowanego. — Obrona nie zaczepka. — Współdziałalność. — Społeczne i państwowe gospodarstwo roślin. — Ubóstwo i bankructwo. — Rabunek i morderstwo. — Odwrotna strona medalu. — Geograficzne rozpowszechnienie roślin.
Cena (w oprawie) . . . . rs. 2 k. —
„ dla abonentów *Prawdy* . „ 1 „ 50

7) L. H. Morgan: **Społeczeństwo pierwotne**: czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. B.
Rozwój inteligencyi. — Rozwój idei rządu. — Rozwój idei rodziny. — Rozwój idei własności.
Cena . . . . rs. 4 k. —
„ dla abonentów *Prawdy* „ 3 „ —
z przesyłką pocztową „ 3 „ 50
Egzemplarze oprawne dzieła Morgana **Społeczeństwo pierwotne** nabywać można za dopłatą kop. 40.

8) J. Barni i A. Krzyżanowski: **Męczennicy myśli** (w oprawie) . „ 1 „ —

9) A. Świętochowski: **O powstawaniu praw moralnych** . . . . „ 1 „ 50

10) W. Okoński: **Dramaty** (Antea, Na targu, Helvia, Poddanka, Błazen, Za maską) . „ 1 „ —

11) — **O życie**, powiastki: Chawa Rubin, Karl Krug, Damian Capenko . . . . „ — „ 50

12) — **Klemens Boruta**, powieść „ — „ 40

UWAGA. Abonenci, którzy prenumerowali *Prawdę* przez **cały** r. 1887, otrzymali w grudniu dodatek nadzwyczajny, pierwszą część (25 arkuszy druku) dzieła **Historya wieku XIX**; ci zaś, którzy będą prenumeratorami przez półrocze pierwsze roku obecnego, otrzymają w czerwcu resztę tegoż dzieła (ark. 15).

Otrzymaliśmy nieliczną resztę egzemplarzy dramatu W. Okońskiego

NIEWINNI

i sprzedajemy po k. 80, z przesyłką rs. 1.

Dzieło prof. L. Gumplowicza

SYSTEM SOCYOLOGII

wyszło z druku i kosztuje obecnie rs. 3 k. 30, z przesyłką pocztową rs. 3 k. 60.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 6 Мая 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.